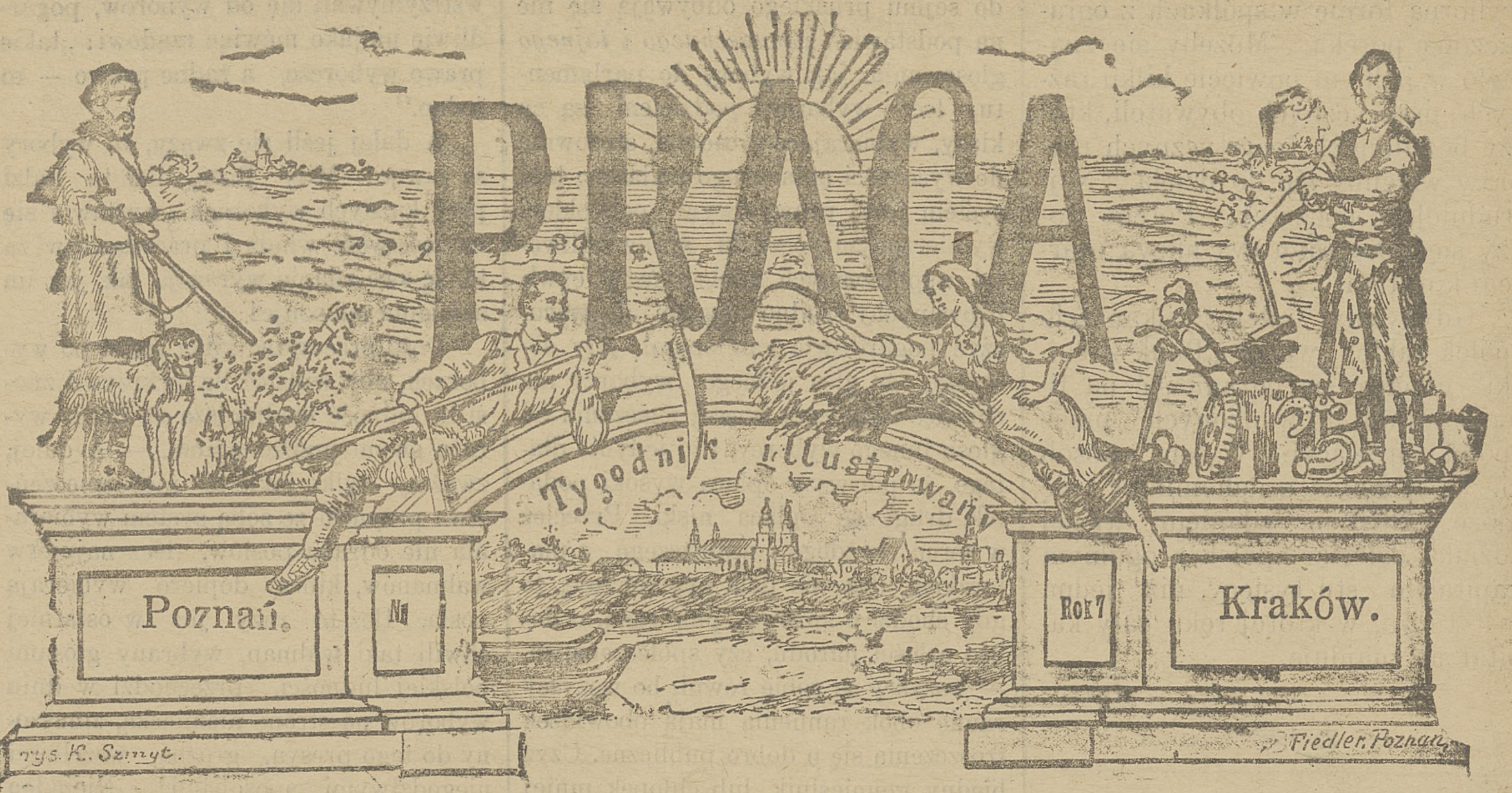
Nr 36. Poznań, dnia 6 go września 1903. Rok VII.



Ratowanie ziemi.

Ostatnie postępy komisyi kolonizacyjnej zatrwożyły opinią naszą. — Na łamach dzienników pojawiają się codziennie głosy obywatelskie. Sypią się jak z rękawa utyskiwania na obecną naszą działalność ratunkową — i pojawiają pomysły nowe. — Przebija w tem wszystkiem często zacna serdeczna chęć, czasem praktyczny pogląd. Obok tego jednakże ujawnia się nieraz wśród kierowników opinii naszej taki brak znajomości rzeczy, że czytelnik oczy rozwiera z podziwu. —

Trudno wszystkie głosy poddać krytyce, jednakże zwrócić należy uwagę na pomysł, któremu „Orędownik“ (ob.: nr. 189) żywo przyklasnął.

Klasyczny przykład na to, jak często u nas niepowołani i nieobeznani zabierają głos w sprawach najpoważniejszych! „Orędownik“ powtarza za „Dziennikiem Kuj.“, że najskuteczniejszą obroną byłoby powiększenie kapitału „Banku Ziemskiego“ przez obniżenie ceny akcyi. Akcye „Banku Ziemskiego“ są po tysiąc marek. Wiadomą jest zaś rzeczą, że wydawanie akcyi na sumy niższe tysiąca marek jest prawnie w tym przypadku wykluczonem. Tak przepisuje kodeks handlowy. Nie jestże to poprostu straszliwem, — że podobny nonsens może wyjść z pod pióra człowieka, który się chlubi, że polityka jego jest polityką cyfr i konkretnych faktów?! Cóż wymagać od społeczeństwa, skoro tak mało sumienności w tych ludziach, których zrządzenie losu uczyniło stróżami opinii?

Chwytamy się słomianych pomysłów jak tonący brzytwy — i nie widzimy sił, które w ręku mamy, — z drugiej strony przeceniamy doniosłość instytucyi naszych.

Przeceniamy stanowczo znaczenie „Banku Ziemskiego“. Pomyślmy, jak straszna potęga ekonomicznej przewagi leży w takich milionowych funduszach komisyi kolonizacyjnej. Nagromadzone setki milionów już samym tym faktem, że są, zdolne wywołać najstraszniejsze przewroty ekonomiczne — cóż dopiero, jeżeli, jak w tym przypadku — właściciel ich nie pyta o prawidła ceny i nie kieruje się względami materyalnej natury. Cóż wobec tego znaczą dwa lub trzy miliony „Banku Ziemskiego“!

Po drugie „Bank Ziemski“ za wielki ma teren działalności. W obecnych stosunkach każdy powiat ma właściwe sobie warunki. Jednolitej instytucyi, która jak „Bank Ziemski‘ ogarnia dwie prowincye, ogromnie się dlatego trudno zoryentować. Ztąd dyrektorzy z natury rzeczy dużo tracą nieraz czasu, aby się w zaofiarowanym interesie rozpatrzeć, tembardziej, że szczupły stosunkowo fundusz nie pozwala im na ryzykowne rzucanie się.

Dalej władze w niebywały sposób utrudniają parcelacyą, nie dając pozwolenia na budowle. Doszło już do tego, że w Mielżynie nabywcom parcel nie wolno pod karą policyjną mieszkać w gotowych pobudowanych mieszkalnych domach i mieścić się muszą z rodzinami po stajniach i stodołach, podczas gdy domy stoją puste, strzeżone przez władzę. Policya nie pozwala chłopu mieszkać w jego własnym domu, zasłaniając się tem, że nie pozwoliła na jego pobudowanie.

Jest to walka na dwa fronty. Wobec tego trudno od zwykłych śmiertelników żądać cudów. Akcya „Banku Ziemskiego“ mogłaby może przy sprężystszem mniej stereotypowem postępowaniu przybrać większe rozmiary, ale pozostałaby zawsze tylko kroplą w morzu.

W słusznem zrozumieniu ważności posiadania ziemi, całe społeczeństwo powinno wziąć udział w akcyi ratunkowej. Nie mamy tu na myśli jakiejś tam naprawy obyczajów ani wyłącznego pracowania na własnym zagonie. Indywidualna siła nie ostoi się wobec naporu tak straszliwej ekonomicznej potęgi. Mamy na myśli zakładanie spółek ziemskich czy włościańskich. Mamy nieomal w każdem miasteczku bank ludowy, dlaczego nie mógłby obok niego powstać drugi, którego celem byłoby nabywanie i odprzedawanie lub wydzierżawianie własności ziems-

kich? Ustawodawstwo daje tak wyborną formę w spółkach z ograniczoną poręką. Możeby się znalazło w jednym powiecie kilku raźnych, praktycznych obywateli, którzy bez długich teoretycznych rozpraw wzięliby się do dzieła. Najtrudniejszy początek. Potem toczy się taka zbiorowa akcya utartem korytem.

Gdybyśmy mieli kilkanaście spółek takich, wtedy „Bank Ziemski" mógłby się ograniczyć na finansowaniu prowadzonych przez spółki parcelacyi. W ten sposób ciężka machina uruchomiłaby się może. Naszem zdaniem więcej zdziała dziesięć spółek z ogólnym kapitałem stu tysięcy, niż jedna instytucya, w której ręku cały kapitał się znajduje.

Jur.

Wybory do sejmu.

Jak donoszą pół urzędowe źródła, w październiku r. b. odbędą się wybory do sejmu pruskiego.

Dowiedzioną jest rzeczą, że wybory do sejmu zarówno wśród polskiej ludności jak i wśród ludności niemieckiej daleko mniejszą się cieszą popularnością od wyborów do parlamentu. Doświadczenie wskazuje, że daleko większy procent wyborców uchyla się od spełnienia obowiązku wyborczego we wyborach do sejmu, niż do parlamentu.

Fakt ten wynika z rozmaitych przyczyn, a jest nader zrozumiały.

Jedynie powszechne głosowanie, w którem każdy wyborca, biedny, czy bogaty jednakowe ma prawo do oddania głosu na swego kandydata, odpowiada poczuciu prawa i sprawiedliwości ,wśród mas wyborczych.

Tymczasem, jak wiadomo, wybory do sejmu pruskiego odbywają się nie na podstawie *powszechnego i tajnego* głosowania, jak wybory do parlamentu, lecz wyborcy podzieleni są na klasy, wybierające z osobna, stosownie do wysokości opłacanego podatku; taki system jest prawdziwym policzkiem wymierzonym poczuciu sprawiedliwości współczesnych społeczeństw cywilizowanych; trudno bowiem nie wzruszyć pogardliwie ramionami, gdy się słyszy, że głos jednego wyborcy ma dziesięć i sto razy więcej znaczenia od głosu innego wyborcy, i to jedynie dlatego, że pierwszy opłaca wysoki podatek, drugi zaś opłaca niski. Przecież w sercu każdego i najniższego z maluczkich, drzemie dziś przekonanie, że gdy chodzi o sprawę publiczną, o dobro całości narodu, czy społeczeństwa, — wszyscy są sobie równi, bo wszyscy ramię obok ramienia mają obowiązek troszczenia się o dobro publiczne. Czyż biedny rzemieślnik, lub chłopek mniej ukochał tę ojczystą ziemię ojców swoich, mniej ją zrosił swym potem niż bogaty jakiś spekulant giełdowy! Czyż na tym rzemieślniku i gospodarzu mniej ciąży obowiązków troszczenia się o dobro całości społeczeństwa, niż na owym bogatym spekulancie? A przecież gdzie równe są obowiązki, tam równe powinny być i prawa. — Tymczasem w Prusach dzieje się wręcz przeciwnie: kto bogaty i duże opłaca podatki, ten ma głos większej wagi, w klasie I-szej wyborców, podczas gdy większość naszej polskiej ludności, co o własnych siłach walczy o byt nie mając żadnych zapomóg rządowych, wykonywuje prawo wyborcze w trzeciej klasie, gdzie głosy małe mają znaczenie.

Nie może to nie rozgoryczyć każdego wyborcy, nie może to nie zniechęcić do wykonywania wyborów wogóle. Nawet przecież socyaliści, właśnie dlatego, że w ten sposób klasy biedniejsze **są upośledzone, zasadniczo dotychczas wstrzymywali się od wyborów, pogardliwie niejako mówiąc rządowi: „takie prawo wyborcze, a żadne prawo — to jedno."**

A dalej jeśli się zważy, że wybory są jawne! Miły Boże, ileż to ludzi przy każdych wyborach wystawia się na mściwość władz i pracodawców za to, że swe zdanie wyrażają tak, jak im sumienie nakazuje!

Dość przeczytać kilka gazet po wyborach, aby widzieć ile to krzywd znosi ta ludność biedniejsza za danie wyrazu swym przekonaniom. — A dalej, zważmy tylko jakie to niebezpieczeństwa przynosi ze sobą system wybierania nie odrazu posłów, lecz najpierw walmanów, którzy dopiero wybierają posła. Ileż to razy już w ostatniej chwili taki walman, wybrany głosami polskiej ludności, przechodzi w dniu wyborów na stronę niemiecką, zmuszony do tego presyą, groźbą, wszelkimi niegodziwymi sposobami! Niejeden nie zjawi się wcale — i umożliwia w ten sposób zwycięstwo Niemca, — kto wie, czy nie został przekupiony.

Lecz to jeszcze nie jest wszystko. Jedną z najgorszych stron i ułomności systemu wyborczego do sejmu jest tak zwana ironicznie: geometrya wyborcza. To znaczy, że władza rządowa tak manewruje w ugrupowaniu miejscowości mających głosować razem na walmanów, aby jaknajkorzystniej było dla Niemców.

Czyż więc coś dziwnego, jeśli ludność nasza, spoglądając na swe i tak obcięte prawa, powiada sobie rozgoryczona: „te wybory — to istne szyderstwo i naigrawanie się z nas!" — i w rezultacie, zniechęcona, mały bierze w nich udział.

Rozgoryczenie to w zupełności jest więc usprawiedliwione. Przecież sam książę Bismark wyrzekł o systemie wyborczym pruskim, że to jest „najpodlej-

KRONIKA TYGODNIOWA.

Lato przemija. Człowiek skwapliwie otula się w poły letniego palta i walczy z wichrem na każdym rogu ulicy, broniąc kapelusza. — Już uczuć się daje zmiana sezonu. Niedługo teatr stanie otworem, obiecując operetkowe rozkosze; — zaczną się odczyty, koncerty — rauty. I umysł spragniony wrażeń i duchowego pokarmu, wyjałowiony letnią pustką odżyje w wartkiem życiu jesieni.

— Panie kronikarzu, na miłość Boską, któż widział tak blagować?

Oglądam się; za mną stoi przecudna blondyna i grozi mi palcem.

— Dzień dobry pani. — Przepraszam; myślałem głośno. — Pani nie wierzy obietnicom moim?

— W Poznaniu i duchowy pokarm. Samo zestawienie wywołuje śmiech.

— Okrutny wyrok. Mnie dziwią zawsze utarte sądy. Niewiadomo, skąd się wzięły, ale każdy je powtarza, jak ewangelie. — Tak samo ten dogmat o jałowości poznańskiej.

— Jakto, pan jej nie odczuwa? — Przecież my tu nie mamy nic. — Inne miasta mają świetne odczyty, — mają salony, w których zastać można śmietankę inteligencyi, a my? — Gdy pani Przyścipska lub Fiufiutkiewicz wyprawia raut, — odmierzony jest cały program wieczoru najdokładniej. — Wysznurowane, sztywne matrony siedzą na kanapach i fotelach. Młodzież grupuje się koło drzwi, — starszyzna wznosi toasty wzajem na siebie w męskim pokoju, a wszystko sznuruje usta, — nudzi się i — je kanapki, — o rozmowie zajmującej, któraby nas podnieciła umysłowo, — niema mowy.

— Czemu pani jej nie rozpocznie?

— Z kim?

— Z każdym; choćby zemną. — Przepraszam panią, — ale ja główną winę tych usterek, o których pani prawi, przypisuję właśnie pani, czyli wła-

szy ze wszystkich systemów" (*Das elendeste aller Wahlsysteme.*) Ale pomimo to, dalekim jest rząd od wprowadzenia lepszego systemu wyborczego. Przyczyna bardzo prosta. Rządowi bardzo dogodnie jest z takim systemem. Spojrzmy tylko na jego wyniki!

Sejm pruski — słusznie zowie się ironicznie „die Landratskammer" — bo w większości składa się z samych oddanych rządowi osób, wyższych urzędników i innych osobistości z natury swego stanowiska gotowych wszystko zrobić na skinienie ministra.

I to się nazywa reprezentacya narodu!

A jednak *właśnie najważniejsze sprawy*, zwłaszcza sprawy nasze, polskie, *przychodzą pod decyzyę tego sejmu pruskiego!* Im bardziej czuje się ludność polska upośledzoną w swem prawie wyborczem w wyborach do sejmu, tem właśnie większą wagę mają dla nas te wybory, tem większy wpływ na losy naszego społeczeństwa.

Ztamtąd to, z tego sejmu płyną owe miliony funduszów dyspozycyjnych, kolonizacyjnych — i wszystkie prawa antypolskie. Tam to, na tej arenie sejmowej powinna by się znaleść jędrna, silna opozycya, któraby złamała większość oddaną rządowi!

W najbliższych wyborach, w październiku, po raz pierwszy socyalna demokracya postanowiła wziąść udział. W sejmie dotychczas nie zasiadał ani jeden socyalista; może cały ich zastęp teraz nagle wtłoczy się do sejmowej sali i z innego tonu zacznie rozmawiać z ministrami.

Wyborcy polscy! Nie dajmy się wyprzedzić socyalistom! Jeśli oni mobilizują swe kadry aż do ostatniego ze swych zwolenników, aby przeciwstawić rządowi zaporę, to my, Polacy, pokażmy, że pod narodowym sztandarem naszym nie mniejsza panuje karność, nie mniejsze zrozumienie obowiązku, nie mniejsza solidarność, niż ta, do której doszli socyaliści pod swym czerwonym sztandarem.

Każdy Polak już teraz, zawczasu powinien w swym kółku działać, i szerzyć poczucie i zrozumienie ważności tych wyborów do sejmu, — aby ani jednego wyborcy nie brakło przy urnie.

Niebywałe zainteresowanie ludności polskiej w wyborach do parlamentu rokuje nadzieje, że i w wyborach do sejmu okaże zrozumienie obowiązków — i znaczenie wyborów właśnie do sejmu.

Przeprowadzić wybory do parlamentu — to dopiero połowa zadania.

Wyborcy polscy z góry sobie powiedzieć muszą, że liczyć im wolno jedynie na własne siły. We wszystkich okręgach wyborczych nasi kandydaci stają w sejmowych wyborach do walki z kandydatami niemieckimi, których popiera różnobarwna koalicya wszystkich stronnictw, wszystkich barw politycznych. Konserwatysta i zagorzały zwolennik protestantyzacyi — w tych wyborach podaje rękę centrowcowi, narodowy liberał, reprezentant warsty bogatych fabrykantów podaje rękę socyalnemu demokracie — aby tylko zwalczyć kandydata Polaka!

A wobec tego, my, Polacy, jesteśmy sami, — nie szukamy u nikogo pomocy, liczymy tylko na własne siły i wierzymy w naszą dobrą sprawę i w to, że nikt z nas obowiązku swego nie zaniedba.

Wyborcy Polacy! Przez pomyślny wynik wyborów do parlamentu zrobiona została dopiero połowa zadania; większej jeszcze energii, większego napięcia sił wymagają od nas w tak licznych okręgach wybory sejmowe: nie pozostawmy dzieła nieukończonem! Dajmy dowód, że ludność polska sama w sobie dość jest jednolitą i zwartą, aby bez obcej pomocy zdobyć nawet więcej po nad to, co dotychczas uzyskiwaliśmy przez wysługiwanie się centrowcom.

Wyborcy polscy pamiętać będą w dniu wyborów, że każdy mandat zdobyty w dzisiejszem położeniu politycznem jest bijącym w oczy dowodem bezsilności germanizacyjnych zapędów! Jak te wybory do parlamentu były wielkiem zliczeniem się żywiołu polskiego w obrębie Prus, — wielką demonstracyą, skierowaną przeciw systemowi rządowemu, tak niechże w każdym okręgu wyborów sejmowych ludność polska przez osiągnięcie zwycięstwa zadokumentuje przed całym światem, że nic w naszych sercach nie zdoła wytępić przywiązania do świętej naszej sprawy, — że żadne garściami rzucane setki miljonów pruskich na wykup ziemi, nie zdolają zagasić tego zapału, który tkwi w nas i który wzmaga się w miarę walki.

Z zapasów wyborczych wyszliśmy zwycięzcami! Ze zwiększoną liczbą mandatów stajemy na arenie parlamentarnej. *To jest godna ludności polskiej odpowiedź pod adresem rządu!*

Krytyką systemu antypolskiego najlepszą, bo ujętą w siłę faktu, nie podlegającego dyskusyi, powinny się stać dla rządu i wybory do sejmu pruskiego.

Poznańczyk.

Zwycięstwo na kresach.

Gdy przed tygodniem w krakowskiej „Nowej Reformie" pojawiła się wiadomość, że gimnazyum polskie w *Cieszynie* na Slązku austryackim nie będzie jeszcze w tym roku upaństwowione, niepokój i oburzenie ogarnęły całe społeczeństwo polskie. Wiadomo bowiem, że fundusze na utrzymanie tego gimnazyum są już wyczerpane, na dalsze zaś społeczeństwo nasze

---

ściwie tym umysłom, które krytykują tylko. Państwo żądacie od drugich podniety umysłowej. — Nie, dajcie ją właśnie drugim, a będzie odrazu inaczej. — Mamy tu tylu ludzi inteligentnych, sympatycznych, — ale przechodzą oni przez świat jak zamknięte książki, nikt z nich niema pożytku. Widzi pani, jałowość społeczeństwa naszego nie polega na braku umysłów niepospolitych, tylko na ich egoistycznem zamknięciu się we własnej ślimaczej skorupie. — Zapominają oni, że Pan Bóg nie stworzył człowieka po to, aby żył tylko dla siebie, lecz uczynił go stworzeniem gromadnem, nakazując, aby drugim służył podług sił.

— Kiedy tu ludzie są egoiści.

— W części tak. Ale to wszędzie tak jest. Potrzeba jednakże tylko te chodzące bryły lodu wystawić na operacyą cieplejszych promieni słonecznych a topnieją. — Otóż proszę pani, — poznawszy raz powód choroby i lekarstwo, trzeba go używać.

— Ale promieni, — skąd wziąć promieni?

— Pani o to pyta, — żywe słońce?

— Pan topnieje?

— Nie byłem nigdy lodem, ale mimo to lekarstwo działa na mnie cudownie.

Stanęliśmy przed bramą domu i piękna towarzyszka podała mi rękę. — Pożegnałem się — i długo jeszcze tego wieczoru myślałem o najlepszym sposobie aplikowania antilodowego lekarstwa. I nie wynalazłem go. — Musi to być trudną bardzo rzeczą porozwiązywać ludziom usta i wcielić w nich potrzebę udzielania się wzajemnego. — Może jaki cudowny doktór z nieba zejdzie. Tymczasem spragniony pogawędki, udałem się do „Domu Przemysłowego", gdzie nad rozpoczętym tematem rozmyślania mego radziliśmy do rana. — Wybraliśmy nawet specyalną komisyą z prawem nieograniczonej kooptacyi. — A wiadomo, że skoro w Poznaniu obiorą komisyą, — rzecz nie ogląda nigdy już światła dziennego.

Fred.

wobec tylu innych potrzeb bodaj czy byłoby się zdobyło. Nadto *Koło polskie* w Wiedniu chlubiło się przecie, że w tej sprawie uzyskało już *zupełny sukces*, że rząd austryacki zobowiązał się z całą pewnością przejąć ten polski zakład kresowy na etat państwowy z dniem 1 września rb.

Na szczęście wieść „Reformy“ okazała się mylną. Jako odpowiedź na nią pojawiło się *urzędowe* doniesienie, że rząd austryacki przejmuje gimnazyum cieszyńskie rzeczywiście z dniem 1 września rb.

Wielkie to zwycięztwo nasze w obecnej chwili! Długoletnie zabiegi i usiłowania społeczeństwa polskiego, oparte na budującej ofiarności rodaków z pod wszystkich trzech zaborów, uwieńczył wreszcie skutek pomyślny. Ważna to placówka narodowa na Śląsku austryackim, wzniesiona z takim trudem i po tylu walkach ma nareszcie byt zapewniony. Społeczeństwu polskiemu spadła wreszcie z serca ciężka troska o los tej szkody ,a pomyślny wynik długoletniej o nią walki, uwieńczony zdobyciem, a raczej odzyskaniem narodowego posterunku winien być zachętą do dalszych usiłowań w kierunku przywrócenia żywiołowi polskiemu na Śląsku austryackim odziedziczonych praw i należnego stanowiska.

Z uczuciem radości i dumy spoglądać dziś możemy na to dzieło, na to wielkie zwycięstwo bezkrwawe, odniesione w epoce rozpasania się wrogów żywiołu polskiego, którzy narodowi naszemu wypowiedzieli walkę na śmierć lub życie. Z tem uczuciem dumy na widok doprowadzonego do końca dzieła, łączy się uczucie szczerej wdzięczności i uznania dla cichej a mrówczej pracy zarządu Macierzy polskiej na Śląsku austryackim, która z największym wysiłkiem, poświęceniem i ofiarnością ratowała od zagłady sprawę gimnazyum polskiego w Cieszynie.

Wyniki te zapisze społeczeństwo nasze we wdzięcznej pamięci, oddając z całem zaufaniem moralną opiekę nad zakładem Macierzy. Rzeczą zaś będzie Koła polskiego w Wiedniu i posłów polskich na Śląsku austryackim czuwać, aby polskie gimnazyum w Cieszynie ,polskiem w rzeczywistości pozostało, aby panował w niem ten sam duch, co dotąd, i aby stało się rozsadnikiem tej *idei, która je powołała do życia.*

We czwartek, 27 z. m., nastąpiło oddanie państwu budynku, urządzenia i środków naukowych.

* * *

Dla informacyi Czytelników naszych podajemy o tej polskiej szkole kresowej następujące wiadomości *statystyczne*: Przy końcu 1902/3 roku szkolnego liczba uczniów wynosiła okrągłe 250, o 6 więcej niż w tym samym czasie roku poprzedniego. Rok szkolny rozpoczął się z frekwencyą 275 uczniów, lecz w ciągu roku opuściło gimnazyum 25. Z liczby 250, która pozostała do końca roku, było, według miejsca urodzenia: z Księstwa Cieszyńskiego 198, ze *Śląska pruskiego* 1, z Galicyi 44, z Królestwa 1, z Poznańskiego 2. Między uczniami z Księstwa Cieszyńskiego pochodziło 6 z miasta Cieszyna, 97 z powiatu cieszyńskiego, 41 z bielskiego i 58 z frysztackiego. Liczby te wykazują dowodnie, jak kłamliwem było twierdzenie organów antipolskich, iż gimnazyum polskie w Cieszynie jest zbyteczne, ponieważ głównego kontyngentu uczniów dostarcza Galicya i Królestwo. Bezpodstawność tego twierdzenia okazuje się w jeszcze jaskrawszem świetle, jeśli się weźmie w rachubę pochodzenie uczniów według obecnego miejsca pobytu ich rodziców. Na Śląsku austryackim mieszkają bowiem rodzice 216 uczniów, w sąsiednich powiatach galicyjskich bialskim i żywieckim rodzice 26 uczniów ,a tylko 8 pochodzi naprawdę z dalszych stron Polski. Gimnazyum ma zatem charakter ściśle śląski.

Według wyznania było w ubiegłym roku 186 katolików, 61 ewangielików i 3 żydów. Na poszczególne klasy przypadało: na I 46, na II 35 ,na III 43, na IV 30, na V 27, na VI 26, na VII 21, na VIII 22.

Interesującemi są także liczby, dotyczące stanu rodziców gimnazyastów cieszyńskich. Synów urzędników, nauczycieli i lekarzy było 39, synów rolników 105, rękodzielników 48, prywatyzujących 5. Wielka stosunkowo liczba synów robotniczych jest objawem

Ze sztuki.

W dniu 1-ym października r. b. odsłoniony będzie w Berlinie pomnik Ryszarda Wagnera, dłuta prof. Eberleina. Wobec spodziewanego napływu cudzoziemców na tę uroczystość, komitet, na którego czele stoi ks. Ludwik Ferdynand bawarski i księżna Karolina, następczyni tronu meiningeńskiego, razem z całym pocztem znakomitości muzycznych Europy (w liczbie członków komitetu międzynarodowego czytamy nazwiska Jana i Edwarada Reszków, Michała Józefowicza, ordynata Maurycego hr. Zamojskiego, Leopolda barona Kronenberga i innych, oraz *wszystkich* wybitniejszych kompozytorów francuzkich, polskich, niemieckich, czeskich i skandynawskich) zwołał *międzynarodowy kongres muzyczny.*

Będzie to pierwsze usiłowanie zjednoczenia w słowie i dźwięku spraw, interesów i wyrazu różnolitych prądów, przenikających nowoczesną sztukę tonów. Dotychczasowe konferencye muzyczne, urządzane przeważnie w Belgii, lub sekcye muzyki na wystawach powszechnych nie miały ani tego zakresu, ani znaczenia, co niedaleki już kongres berliński, imponujący wprost liczbą i jakością uczestników i odrębnością bardzo szerokiej organizacyi.

Z kongresem połączoną będzie wystawa starożytnych instrumentów muzycznych w wyższej szkole muzycznej w Charlottenburgu.

Owo święto muzyki trwać będzie dni sześć od 30. września do 4. paźdz.

Wybór orkiestry międzynarodowej, której zadanie będzie najważniejszem ze względu na różnolitość programu i różnolitą dyrekcyę i która skupi największą uwagę gości międzynarodowych, już został dokonany. Do konkursu powołano orkiestry: paryską Chevillarda, meiningeńską Steinbacha, orkiestrę „Tonkünstler“ Ryszarda Straussa i orkiestrę Filharmonii warszawskiej. Wybór, w którego decyzyi uczestniczyli kapelmistrze i profesorowie konserwatoryum, padł na orkiestrę *„Filharmonii warszawskiej“.*

Orkiestra ta, której wszechstronności i subtelności złożyli najzaszczytniejsze świadectwo zapytani o radę kapelmistrze i wirtuozowie pierwszej sławy europejskiej, otrzymuje przeto zaproszenie do wykonania zarówno koncertu międzynarodowego jak i koncertu inauguracyjnego w głównej sali parlamentu rzeszy niemieckiej. Komitet zawiadomił niezwłocznie w drodze telegraficznej zarząd Filharmonii warszawskiej o tak zaszczytnym dla niej wyborze. Za wykonanie obu koncertów komitet wagnerowski ofiaruje 8000 marek wraz z pokryciem niektórych kosztów.

Z dwóch koncertów pierwszy odbędzie się 30-go września w gmachu parlamentu pod dyrekcyą p. Emila Młynarskiego.

Drugi koncert, dnia 4-go października, odbędzie się pod kierunkiem dyrektorów różnych narodowości.

W części polskiej tego koncertu wystąpi znakomity tenor, Aleksander Bandrowski.

Jak słyszymy, jest nadzieja, że Filharmonia warszawska z powrotem z Berlina wstąpi z koncertem do Poznania.

niezwykle pomyślnym, dowodzi bowiem, że i w tych sferach budzi się coraz większe pragnienie wyższej nauki dla synów.

Kolegium nauczycielskie składało się z 15 profesorów i czterech nauczycieli przedmiotów nadobowiązkowych.

Galicyanin.

Przed sądem.

Nadchodzą dwa dni dla nas ciężkie i bolesne, dni, w których przed sądami pruskimi rozegra się znów epilog jednego z owych aktów burzliwych, jakie w naszej walce z hakatą zdarzają się niestety coraz częściej. Dnia 8-go *września* stanie przed Izbą karną w Bytomiu na Ślązku 66, a dnia 28-go *września* przed tamtejszym sądem przysięgłych 8 osób, oskarzonych o rzekome gwałty, popełnione podczas znanych rozruchów wyborczych w *Hucie Laury.* W pierwszym terminie trybunal sądzić będzie tych, którzy w oczach prokuratoryi uchodzą za sprawców i przywódzców rozruchu. Serce się kraje, gdy się czyta, że między pierwszymi jest *dwóch, którzy liczą zaledwie lat 12, a dziesięciu, którzy nie dobiegli jeszcze 16 roku życia....*

Nie znamy jeszcze w całej rozciągłości aktu oskarzenia, lecz chociażbyśmy go znali, nie moglibyśmy go nawet omawiać na tem miejscu przed rozprawą, bo na to nie pozwala ustawa pruska. Nie chodzi też nam dziś o to co wszystkim i każdemu z osobna z tych oskarzonych zarzuca prokuratorya, lecz jedynie o *przyczyny i motywa,* jakie wywołały to zajście, o towarzyszące mu *okoliczności* i *o tło* polityczno-społeczno narodowe całej tej sprawy. Trudno dziś także przewidzieć, jakie w obu terminach zapadną wyroki, czy z wielkiej a groźnej tej chmury spadnie znów mały deszcz, jak w procesie o zaburzenia w *Zabrzu,* czy też zakrwawi się znów i jęknie z bólu serce całego narodu polskiego. To tylko wiemy, że gdyby władze pruskie uwzględniały należycie *motywa,* kierujące dziś akcyą obronną polskiego ludu, *takich zajść i procesów wcaleby nie było.*

Prasa hakatystyczna rzuca już dziś, nim jeszcze wyrok zapadł, gromy potępienia na tych biednych robotników śląskich, którzy tak ciężko pokutować muszą za chwilę wzburzenia, za zbyt krewki poryw . Dzienniki tego kierunku nazywają ich buntownikami, burzycielami ładu i porządku, ludźmi niebezpiecznymi bez czci i wiary i wyrażają nadzieję, że sąd surową wymierzy im karę. Tak przemawia dziś o tych biedakach polskich ta sama prasa, która pod niebiosy wynosi swoich Schillów, Jahnów, Lützowów i tych wszystkich, którzy przed stu laty organizowali i wiedli niemieckie hufce *powstańcze* przeciwko Francuzom; ta sama prasa, która nie ma dość słów pogardy dla rządu węgierskiego za rzekomy narodowy i językowy ucisk Niemców na Węgrzech, która pieniła się ze złości, gdy przed rokiem sądy węgierskie skazały na dłuższe kary więzienne redaktorów pism niemieckich za podburzające przeciwko Węgrom wiersze i artykuły. Już to dowodzi, że prasa hakatystyczna — o czem wiemy zresztą już i z innych objawów aż nadto dobrze — daleka jest od uznawania chrześciańskiej zasady: *„co tobie nie miło — drugiemu nie czyń!"* Do niej też napróżno i daremnie apelowalibyśmy względami słuszności i sprawiedliwości, bo dla takich względów jest ona, gdy chodzi o Polaków, zupełnie niedostępną.

Możemy i musimy natomiast żądać, aby względów takich nie lekceważyła *władza państwowa,* panująca przez zbieg okoliczności także nad pewną częścią ludu polskiego, od tego ludu pobierająca ciężkie daniny z krwi i mienia dla *swoich* wyłącznie potrzeb i celów, władza, która dumnie wywodzi misyą swoją ... od *Boga.* A właśnie dla tej władzy zajście w *Hucie Laury* nasuwa dużo uwag i wskazówek.

Nikt chyba nie odważy się zaprzeczyć temu, że zajście to *jest wyłącznie wynikiem i następstwem zbyt wielkiego naprężenia roboty germanizacyjnej.* Nie dość, że germanizuje się lud polski wszelkiemi środkami państwowemi, za pomocą urzędów i szkoły, nie dość, że czynią to także wszelkie czynniki prywatne; ale w tym wypadku *usiłowano nawet ukrócić ludowi śląskiemu możność wypowiedzenia swego żalu i bólu przez wybór posła, podług woli i życzeń swoich,* który to akt nawet według

---

Dyrekcya *„Filharmonii warszawskiej"* w celu umuzykalnienia dziatwy za pomocą gry zbiorowej na różnych instrumentach, zakłada z początkiem sezonu jesiennego orkiestrę, złożoną z dzieci, których naukę powierza jednemu ze swych kapelmistrzów.

W tej pracy muzyczno-pedagogicznej u podstaw, Filharmonia warszawska nie będzie szczędziła zabiegów i kosztów.

* * *

Ignacy Paderewski zajęty jest obecnie pracą nad nowem *dziełem symfonicznem.* Dwie części są już ukończone.

Kompozycya ta będzie przesłana Filharmonii warszawskiej do wykonania w sezonie zimowym.

Oprócz dzieł Paderewskiego i Noskowskiego, których symfonje ozdobią nadchodzący sezon koncertowy, program wieczorów Filharmonii warszawskiej urozmaicą utwory młodych kompozytorów: Nowowiejskiego, Koczalskiego, A. Wieniawskiego i innych.

* * *

Zygmunt Przybylski złożył dyrekcyi teatrów warszawskich nową komedyę 4-aktową *„Wojna domowa".*

Utwór ten ukaże się na scenie w sezonie zimowym.

* * *

Jako odbitka z II. tomu „Albumu zasłużonych Polaków XIX. wieku", ukazał się na półkach księgarskich zarys biograficzny d-ra Józefa Grabowskiego, pt. *„Tytus Chałubiński."*

W treściwym zarysie autor opisał naukową działalność jednego z najznakomitszych lekarzy polskich ubiegłego stulecia.

* * *

Panna Wiktorya Zabiełłówna, od lat wielu stale mieszkająca w Paryżu i znająca język francuzki tak gruntownie, jak rodowity, jest jedną z najzdolniejszych tłomaczek celniejszych utworów literatury naszej. Nieraz już gazety wspominały o jej przekładach (niektóre nowele Sienkiewicza, „Wydalona" Kowerskiej i inne.) Obecnie zaś wyszedł z druku w Paryżu w tłomaczeniu panny Wiktoryi Zabiełłównej tom noweli Elizy Orzeszkowej, zawierający pod tytułem zbiorowym *„Idylles brisees"* utwory następujące: „Pieśń przerwana", „Światło wśród ruin", „Krzak bzu" i „W zimowy wieczór".

* * *

Dnia 27-go z. m. odbyło się w Warszawie w teatrze „Renaissance" przedstawienie jubileuszowe na dochód artysty dramatycznego, p. Dobrzańskiego, celem uczczenia 25-lecia jego działalności. Program obejmował: scenę z „Karpackich górali", odegraną przez p. Dobrzańskiego, akt z „Urjela Acosty", w wykonaniu artystów teatru ludowego, jednoaktówkę Gorczyńskiego p. t. „Parodye miłości", którą odegrali artyści teatru łódzkiego, wreszcie sezonową operetkę „Świat na opak".

—ski.

ustaw pruskich ma być *wolny* i swobodny zupełnie.

Co bowiem było przyczyną tych zaburzeń? Jedynie to, że ludowi polskiemu odmawiano *sal* na zebrania, podczas gdy przeciwnikom jego dawano je chętnie i przez to ułatwiano im zwalczanie kandydata polskiego. Gdyby nie to, gdyby polscy wyborcy posiadali byli możność swobodnego publicznego narodzenia się w sprawie wyborów, zapewne ani na myśl im nie byłoby przyszło, zakłócać *obce* zebrania. A przecież to odmawianie sal ludowi dzieje się, jak to w tylu wypadkach stwierdzono, wyłącznie wskutek interwencyi władzy, państwowej-*policyi*.

Nie dość na tem; w chwili, gdy lud w obronie najdroższych swoich skarbów zabrał się do wykonania jednego z najważniejszych swych praw politycznych, z wyżyn stolicy biskupiej a więc władzy duchownej, która wedle zasad kościelnych i przykazań boskich brać powinna *w opiekę maluczkich i uciśnionych*, a co najmniej zachowywać ścisłą bezstronność w tego rodzaju sporach polityczno-narodowych, odezwał się głos, *potępiający słuszny opór ludu*, raniący dotkliwie najświętsze jego uczucia.

Czyż więc dziwić się można, że ten biedny opuszczony od wszelkich ziemskich potentatów lud, krzywdzony na każdym kroku w swych narodowych i politycznych prawach, który za to, że pragnie pozostać tem, czem go Bóg stworzył, wypędzony bywa z pracy, pozbawiony chleba, oddalony nawet od sakramentów św., *że ten lud popadł nareszcie w stan wielkiego wzburzenia i dał się unieść rozgoryczeniu?*

Czyż rząd pruski rzeczywiście mniema, że tylko *Niemcom* wolno kochać swoją narodowość i swój język ojczysty, że Polacy nie mają do tego prawa? Czyż tak może mniemać i sądzić rząd *sprawiedliwy?* Nie! lud polski ma takie samo prawo do swej narodowości i swego języka, jak lud niemiecki, a kto mu tego prawa odmawia, ten go krzywdzi ciężko; kto zaś gnębi go jeszcze w jego uczuciach narodowych *wyjątkowemi środkami i szykanami, ten samemu sobie tylko przypisać powinien winę, jeżli lud zapomni się na chwilę i przekroczy gniotące go ustawy i przepisy.*

Już sam fakt, że między oskarżon. jest aż *12-tu dzieciaków niemal jeszcze*, powinien głęboko zastanowić rząd pruski. Snać młodzież ta dużo nacierpiała się w szkole, jeżli dopuściła się zarzucanych jej wybryków przeciwko niemczyźnie. Fałszywy system szkólny odniósł w tym wypadku skutek wręcz przeciwny zamierzonemu i pożądanemu przez rząd pruski...

Ucisk, jakiego lud nasz doznaje, łamie już widocznie wrodzoną mu uległość wobec każdej władzy, przekracza już granice wytrzymałości. *Jak ciężka wobec tego odpowiedzialność spada na władze państwowe* — a w tym wypadku także na *władzę duchowną* — która w tak niewłaściwy sposób pospieszyła na pomoc — nie krzywdzonemu ludowi, lecz jego *krzywdzicielom!*

Rząd zaczyna sprzątać owoce swej polityki antypolskiej. Czyżby mu były mile *takie* owoce? Czy sądzi, że surowe kary, jakie w tym wypadku może spadną na tych biednych Ślązaków, przysłużą się systemowi germanizacyjnemu? Jeżli tak sądzi, to grubo się myli. Sprawią one jedynie, że lud goręcej jeszcze ukocha swe ideały narodowe, że większą jeszcze zapłonie *nienawiścią* do niemczyzny. A nędza rodzin, pozbawionych żywicieli, łzy setek niewiast i dzieci zaciążą ołowiem na sumieniu tych, *którzy systemem antypolskim doprowadzają lud nasz do rozpaczy.* Niechże to sobie, ci, którzy kierują polityką antypolską, dobrze rozważą...

Tym ,którzy z trwogą w kaźni więziennej oczekują owych dni procesu i wyroku, przedewszystkiem ich biednym rodzinom, przesyłamy dziś wyrazy(współczucia i otuchy. W oczach naszych, w oczach *społeczeństwa polskiego* ci, którzy zasiądą na ławie oskarzonych,*nie są zbrodniarzami*, za jakich okrzyczeć ich pragnie prasa hakatystyczna. Jeżli rząd pruski i hakata *nie umieją ocenić* i uwzględnić motywów, które popchnęły tych biednych do nierozważnych czynów, to umie je ocenić i uwzględnić *naród polski*. Nie ma on dziś politycznej samodzielności, nie może się ująć za każdą swą krzywdzoną jednostką, ale z zmiłowania Bożego ma jeszcze dość siły, jedności i zasobów, *aby otrzyć łzy cierpiących swoich i wlać w ich serca otuchę.* Naród polski wysnuje należyte konsekwencye z wyroku, jaki zapadnie w Bytomiu. A jeżli te konsekwencye będą dla Niemczyzny znów tak samo nie miłe, jak ongi po *Wrześni*, to już wina tych, którzy w imieniu Niemczyzny i narodu niemieckiego godzą na życie żywiołu polskiego. My zniesiemy cierpliwie i nowe nawiedzenie, ale będziemy umieli odpowiedzieć na nie w sposób godny wielkiego narodu.

Ordon.

Zjazd rabinów w Krakowie.

Kraków, dnia 30. sierpnia.

Może dwa tygodnie temu idąc ulicą mijałem właśnie stragan znanego mi dobrze handlarza owocu, Polaka i dobrego katolika, gdy przybiegł on do mnie i z wielką goryczą w głosie rzekł: „Panie! Wasi kardynałowie pojechali do Rzymu wybierać nowego Papieża, a do nas podobno przyjeżdżają — *rabini żydowscy* z całego świata. Czy to Kraków upadł już tak nisko, że stał się *Rzymem żydów?*“

Uśmiechnąłem się — lecz prawdą a Bogiem w pierwszej chwili nie wiedziałem, co odpowiedzieć. I mnie bowiem myśl ta była dziwnie przykrą, zwłaszcza w tem właśnie zestawieniu. Nasz królewski Kraków i tak już niestety jest aż nadto zżydziały, a tu w dodatku jeszcze miał dostąpić tego wątpliwego zaszczytu. Cóż - podburzać nie chciałem. Lud nasz podwawelski już i tak ogromnie rozgoryczony i wzburzony nędzą, która nań spada od żydów. W takiem położeniu jedno niebaczne słowo, a może stać się coś złego. Rzuciłem więc tylko kilka uwag obojętnych i żartobliwych i pozostawiłem biedaka z jego żalem.

Tak, jak on myślało dużo w Krakowie. Obawiano się przytem, że żydzi zechcą ten swój zjazd zamienić na głośną jaką demonstracyą uliczną, co byłoby jeszcze bardziej upokarzającem dla polskich miasta mieszkańców. W Austryi żydom wszystko wolno. Lecz na szczęście, stało się inaczej . Nasamprzód bowiem zjazd czyli„kongres“ nie dopisał. Ze 150 zaproszonych przybyło zaledwie czterdziestu kilku. Z wyjątkiem rabinów z Kairu i Aleksandryi, z których jeden nosił nawet szumny tytuł *„Hasana baszy,“* a których oryentalny strój wabił na ulicy uliczników i gapiów — innych ani znać nie było w naszem bądź co bądź już stotysięcznem mieście. Trzymali się zresztą sami na uboczu, przebywając głównie w naszem „ghetto“ — okropnym Kazimierzu.

Tam za to roiło się podczas zjazdu jak w ulu, zwłaszcza w koło starej bóżnicy, gdzie odbyć się miał główny akt zjazdu przysięgą na torę, że nie istnieje żaden przepis zalecający żydom rytualne morderstwa. Ta przysięga była zresztą nietylko głównym aktem, ale i głównym *celem* zjazdu. Miał on się odbyć pierwotnie w Jerozolimie, lecz ze względu na rabinów z Rosyi zgodzono się na Kraków. Bezpośrednią pobudką do zwołania tego zjazdu były rozruchy w Kiszyniewie, oraz szerzące się w ostatnich latach coraz bardziej pogłoski o *mordach rytualnych*, które nawet u Turków i Egipcyan znalazły wiarę. To też inicyatywa do zjazdu wyszła od rabinów *egipskich*, w zjeździe zaś wzięło udział także kilku

rabinów z europejskiej i azyatyckiej *Turcyi*.

Nieprzejrzane tłumy żydowstwa zaległy plac i ulice wkoło bóżnicy, gdy się zbliżała uroczysta chwila przysięgi, bóżnica sama była przepełniona. Rotę przysięgi odczytał w języku hebrajskim rabin krakowski *Horowitz*. Brzmi ona jak następuje:

„Dziś w pierwszy dzień tygodnia, dnia 15, miesiąca ab (5), 5663 od stworzenia świata, my rabini, zebrani z różnych krajów świata w starej synagodze w Krakowie,, przysięgamy rytualną przysięgę, świadcząc się imieniem wszechmocnego Boga, stwórcy ziemi i nieba, oświadczamy, że powieść o mordzie rytualnym, rozgłaszana przez ludzi nikczemnych i złej woli, którzy naszych braci izraelitów od lat setek w różnych krajach obwiniają, jakoby używali do celów religijnych krwi, pochodzącej od nieżydów, lub jakoby to zwyczaj, albo przepis tradycyjny jakiejkolwiek sekty, lub ogółu izraelitów nakazywał, jest bajką podłą i kłamliwą. Również w żadnej księdze pisma świętego: ani w biblii, ani u proroków, ani w talmudzie babilońskim, lub jerozolimskim, ani w Safrah, ani w Sifruh, ani w Mechylte, ani w Tosefte, ani w Midraszu, ani w Socharro lub w jakimkolwiek dziele kabilistycznem, ani też w kodeksie przepisów Szulhan-Aruch, ani wogóle w żadnych księgach, wydawanych przez starożytnych, późniejszych, lub teraźniejszych rabinów, nie widzieliśmy i nie mogliśmy nigdzie znaleść, żeby było przykazaniem, przepisem, zwyczajem, lub wskazówką używać krwi nieżydowskiej do celów rytualnych. My, zebrani tu rabini, reprezentanci tradycyi, nie słyszeliśmy też nigdy i nie wiemy o tem, żeby było przepisem, lub zwyczajem jakiejkolwiek sekty, lub osób pojedyńczych między żydami, dopuszczać się podobnego strasznego i wstrętnego czynu .Tak jak teraz prawdziwie i szczerze przysięgamy, dopomóż nam Panie Boże we wszystkich naszych przedsięwzięciach. Amen.“

W sposób niezwykle uroczysty przybrani w białe „tałesy“ powtarzali rabini tę przysięgę za Horowitzem, a towarzyszył im *„głośny płacz zebranego w synagodze tłumu.“* (Wedle referatu jednego z pism.)

Czy żydzi przypuszczają na seryo, że przysięga rzeczona zabezpieczy ich już przed tem podejrzeniem, że nikt ich już nie będzie posądzał o takie zbrodnie?

Po tym akcie pozostali rabini w Krakowie jeszcze przez dni cztery i obradowali nad innemi sprawami żydowstwa, jak np. nad kwestyami wychowania i kwestyami religijnemi, a także nad ekonomicznem położeniem żydów. Zaraz w pierwszym dniu obrad poznać było można, że jest to zbiorowisko ludzi, *którzy nigdy ani parlamentarnie ani rzeczowo nie dyskutowali publicznie*. Rozprawy były niekiedy tak burzliwe, że nie wiele brakowało, a „pobożni“ ci „arcykapłani“ *byliby się i do pięści zabrali*. Na zebraniach rej wodzili rabini z *Rosyi*, najbardziej *zacofani*, ale też *najszczersi*. Ich przywodzca, rabin *Rabinowicz z Połtawy* mimowoli odsłonił całą naturę żydowstwa. Z jednej strony piorunował gwałtownie przeciwko wszelkiemu postępowi u żydów, przeciwko posyłaniu dzieci do szkół publicznych świeckich, a żądał zatrzymania *hederów*. Nie godził się nawet na to, aby w hederach uczono jakichkolwiek innych przedmiotów prócz języka hebrejskiego i talmudu. Z drugiej znów strony potępiał wszelki udział młodzieży żydowskiej *w obcych ruchach rewolucyjnych, socyalistycznym, anarchistycznym i nihilistycznym. Mimo* oporu postępowych rabinów przeforsował też rodzaj odezwy do żydów, zabraniający im udziału w tych ruchach pod grozą wykluczenia ze wspólności religijnej. „Żydzi — wywodził ten rabin — powinni bezwzględnie słuchać cara i królów, bo „każda władza jest od Boga“! A więc z jednej strony dążność do utrzymania żydowstwa w starej ciemnocie, w odwiecznem odosobnieniu, a z drugiej niegodne płaszczenie się przed władzą świecką. Pod ostatnim względem nie było zresztą różnicy zdań; mowy wszystkich uczestników kapały formalnie *lojalnemi zapewnieniami*.

Najważniejszym rezultatem zjazdu było utworzenie *nowej, bardzo niebezpiecznej organizacyi żydowstwa*. Dotyczący tej sprawy wniosek brzmi: Rabini wszystkich krajów mają utworzyć stowarzyszenia krajowe. Kraje łączą się w grupy, każda grupa wybiera mężów zaufania, którzy razem tworzą międzynarodową reprezentacyę żydów. Uchwały zjazdów tych mężów zaufania mają charakter oficyalny i obowiązują całe żydowstwo!“

Na ziemi polskiej więc powstała ta nowa organizacya, która wzmocnić ma jeszcze potęgę międzynarodowego żydowstwa i ułatwić mu wyzysk narodów chrześcijańskich.

Wogóle kto patrzał na tych ludzi, kto przysłuchiwał się ich mowom, w tego duszy i pamięci wyryć się musiał obraz bezlitośnego fanatyzmu religijnego, bezdennej nienawiści do wszystkiego, co wykracza po za naród izraelski, *jego* cele i dążności; zarazem trudno się było oprzeć uczuciu trwogi na myśl, do czego dojdzie ta nasza biedna Polska, jeśli ten dziki naród, jak dotychczas w niej będzie się *mnożył i rozwijał??..*

Jesteśmy chrześcijanami i nie wolno nam nienawidzić i prześladować żydów. Ale wolno nam uprawiać *asemityzm*, lepszy od antysemityzmu: wolno nam *trzymać się zdala, zdala od tego narodu*. Niech się sam pożera, a niech opuści biedną, ojczyznę naszą.

Krakowianin.

Z tygodnia.

Turcya spełniła wprawdzie wszystkie, nawet najbardziej upokarzające warunki i żądania *Rosyi*, względnie zobowiązała się je spełnić, eskadra rosyjska opuściła wskutek tego zatokę *Injady* i wróciła do Sewastopolu — lecz ogólne położenie na półwyspie *bałkańskim* raczej się jeszcze pogorszyło, niż polepszyło. Pobyt eskardy rosyjskiej na wybrzeżach tureckich ten „dziwny“ odniósł skutek, że powstanie Bułgarów jeszcze się rozszerzyło, że wybuchło nawet w okręgach, w których Turcy wcale się buntu nie spodziewali. Stało się to mianowicie w przytykającym do zatoki Injada wilajecie *Kirk-Kilisse*. Tam niemal w oczach załogi rosyjskich okrętów wojennych porwała się do broni cała ludność bułgarska, napadła i zburzyła kilkanaście wsi tureckich i rozbroiła mniejsze oddziały wojska. Równocześnie lotem błyskawicy przebiegła po całym półwyspie wieść, że to pojawienie się floty rosyjskiej, to pierwszy akt interwencyi mocarstw na rzecz powstańców. Wieść ta dodała walczącym otuchy, ośmieliła tych, którzy już wątpić zaczynali w zwycięstwo. A chociaż nazajutrz już pancerniki rosyjskie znów odpłynęły, dobra wiara i otucha pozostały w sercach powstańców i ujawniły się zaraz w nowych śmiałych czynach. Jakby na pożegnanie odpływających „przyjaciół“ zburzono dynamitem latarnię morską w Injadzie, równocześnie niemal wysadzono w powietrze dynamitem na stacyi *Kuleli-Burgas* część pociągu kolei oryentalnej. W innych miejscach uderzono na wojsko tureckie z mniej lub więcej pomyślnym skutkiem. Jednem słowem, walka zawrzała znów na całej linii z podwójną gwałtownością i krew jeszcze obficiej się polała. Turcy mszcząc się za to, dopuszczają się jeszcze okropniejszych okrucieństw i dziś sytuacya we wszystkich niemal wila-

jetach europejskich Turcyi jest wprost *straszna.*

Niemniej groźne wieści nadchodzą z *Sredca* (Zofii) i z Belgradu. Zarówno w *Bułgaryi* jak i w *Serbii* opinia publiczna domaga się coraz natarczywiej pospieszenia z pomocą walczącym braciom. W Bułgaryi zanosi się podobno nawet na to, że jeżli książę *Ferdynand* nie da folgi temu żądaniu opinii, *wybuchnie rewolucya przeciwko niemu i jego rządowi.*

Kłopoty Turcyi powiększył zaś jeszcze fakt, dowodzący, że nietylko w jej europejskich ale i w azyatyckich krajach panuje zupełna anarchia. W *Bejrucie,* mieście portowym Syryi *wykonano zamach na konsula Stanów zjednoczonych Ameryki północnej.* Konsul uszedł wprawdzie z życiem, rząd amerykański nie zna jednakże w takich sprawach żartów ani pobłażliwości. Natychmiast też wysłał do *Bejrutu* eskadrę wojenną, która pozostanie tam tak długo, dopóki Turcya i za tę zbrodnię nie da zupełnej satysfakcyi. A tymczasem rząd turecki ostatkami goni. W skarbie pustki, niezapłacone wojsko odmawia posłuszeństwa.

Nie dziw więc, że wobec tego państwa, najbardziej interesowane na Bałkanach, *Rosya i Austrya* porozumiewają się już co do nowej energiczniejszej akcyi w tej sprawie . Słychać, że *jeżli inne państwa na to się zgodzą, Rosya zajmie wschodnie, Austrya zachodnie wilajety europejskiej Turcyi, same tam przywrócą spokój i zaprowadzą rodzaj samorządu,* poczem oddadzą kraje te znów Turcyi.

Jeżli się inne państwa na to zgodzą.. Pewności co do tego nie ma. Natomiast pojawiają się wieści, które twierdzą, że powstanie w *Macedonii* nie byłoby przybrało tak groźnych rozmiarów, gdyby go potajemnie nie podniecały i nie wspierały te właśnie państwa, które najgłośniej zapewniają, że pragną przywrócenia pokoju na półwyspie bałkańskim, mianowicie *Rosya i Anglia.* Czynią to zaś w zamiarze pokrzyżowania planów *Niemiec.* Wiadomo, że Niemcy uzyskali od Turcyi koncesyą na budowę wielkiej kolei w Turcyi azyatyckiej, *kolei bagdadzkiej.* Otóż Rosyi i Anglii chodzi o to, ażeby tak pognębić finansowo Turcyę, ażeby zobowiązań swych względem Niemiec nie mogła już wypełnić, a równocześnie, aby odstraszyć kapitał niemiecki od udziału w tem przedsiębiorstwie kolejowem.

Biedni powstańcy nie wiedzą zapewne nawet, jakim planom i celom służą; mniemają, że walczą *o swoją* wolność, a tymczasem przelewają krew swoją dla samolubnych celów rzekomych swych przyjaciół. Nie pierwszy to taki wypadek w dziejach. I nas Polaków niejednokrotnie tak wyzyskiwano...

Ogólnie przypuszczają, że sprawa bałkańska rozstrzygnie się w tym miesiącu *w Wiedniu.* Do pięknej stolicy austryackiej nad modrym Dunajem zjeżdża we Wrześniu bowiem *aż trzech monarchów.* W chwili, gdy to piszemy bawi tam król angielski *Edward;* dnia 18-go przybyć ma cesarz *Wilhelm* a w końcu miesiąca *car rosyjski Mikołaj* w przejeździe do *Włoch.* Do wizyt monarszych nie przywięzujemy zwykle ważniejszego znaczenia; w tym wypadku jednakże mogą rzeczywiście poważnie oddziałać na te piekące sprawy, To pewna, że obecnego położenia w Macedonii mocarstwa długo już tolerować nie mogą, że *muszą wkroczyć.* Chodzi tylko o wynalezienie *sposobu,* któryby zadość czynił *wszystkim* interesom i żądaniom. Czy go znajdą podczas tych wizyt monarszych w Wiedniu, bliska już przyszłość pokaże.

Polacy w Austryi nie bez pewnego zaniepokojenia oczekują wizyty cesarza *Wilhelma* w Wiedniu. Wiadomo, że wpływ Niemiec na stosunki wewnętrzne Austryi jest wielki, możliwą jest też rzeczą, że się jeszcze powiększy! Wprawdzie rząd austryacki spełnił świeżo dawne swe zobowiązanie względem Polaków, upaństwowił *gimnazyum polskie w Cieszynie,* wprawdzie cesarz *Franciszek Józef* zjeżdża dnia 13-go b. m. do *Lwowa* i Galicyi na manewry, przyczem odświeży się serdeczny stosunek między nim a krajem, ale wszystko to nie daje żadnej gwarancyi na przyszłość.

Rozwikłanie zagmatwanej sytuacyi na *Węgrzech* jeszcze nie nastąpiło. Wskutek wyjazdu cesarza Franciszka Józefa do Wiednia celem przyjęcia króla angielskiego sprawa ta doznała nowej odwłoki. Na razie nic się tam nie zmieniło, a ostateczna decyzya ma zapaść dopiero po powrocie monarchy w końcu bieżącego tygodnia. Natomiast *ogólne położenie wewnętrzne Austryi* jeszcze się pogorszyło. Ruszyli się bowiem także *Czesi,* to jest radykalniejsze ich stronnictwa. Popierają one żądania Madziarów, lecz żądają równocześnie, ażeby w razie, jeżeli te żądania zostaną spełnione, *zaprowadzono także czeskie sztandary i czeską komendę w pułkach rekrutujących się w Czechach.* Daremnie rozważniejsza prasa staroczeska ostrzega zapaleńców młodoczeskich i radykalnych przed taką akcyą, daremnie wskazuje na to, że uwzględnienie żądań Madziarów będzie nową krzywdą *dla milionów słowiańskiej ludności Węgier,* że będzie *to grobem mocarstwowego stanowiska Austryi,* od którego zawisły jest także los narodu czeskiego; radykalne żywioły czeskie coraz energiczniej występują w tym kierunku. Wszystko układa się tak jakoby ostatnia godzina *cesarstwa* austryackiego już była niedaleka. Ze względu na to Polacy z Galicyi z nielicznemi wyjątkami sprzeciwiają się dalszym ustępstwom na rzecz Madziarów.

Prezydent rzeczypospolitej *francuzkiej Loubet* wyjedzie wkrótce do *Rzymu,* aby rewizytować króla włoskiego. Jedno z pism francuzkich donosi obecnie z rzekomo wiarogodnego źródła, że Ojciec św. *Pius X.* postanowił *przyjąć pana Loubeta w Watykanie.* Nam się jeszcze nie chce wierzyć temu. Nietylko bowiem sprzeciwiałoby się to dotychczasowym zasadom Stolicy św. w kwestyi *rzymskiej,* ale nadto byłoby ogromną pobłażliwością dla masońskiego rządu francuzkiego. Prezydent tego rządu osławiony eks-ksiądz *Combes* wygłosił przecie w tych dniach publiczną mowę, tryskającą formalnie nienawiścią do Kościoła.

W *Rosyi* zaszła zmiana w składzie gabinetu. Dotychczasowy minister skarbu *Witte,* który około finansów Rosyi położył ogromne zasługi, ustąpił z tego stanowiska, a miejsce jego zajął dyrektor banku państwowego Pleske. Wittego car mianował prezesem komitetu ministrów, pewnego rodzaju kanclerzem, ale tylko honorowym, bez odpowiedniej władzy. Niektóre pisma łączą tę zmianę z układami, jakie toczą się między *Rosyą* a *Niemcami w sprawie nowego traktatu handlowo-celnego. Układy* te napotykają podobno na poważne trudności. Podczas bowiem, gdy rząd rosyjski domaga się stanowczo dalszych *niskich ceł* na zboże rosyjskie, Niemcy zamierzają w myśl nowej taryfy celnej *cła te znacznie podwyższyć.* Łatwo być może, że z tego powodu przyjdzie do zatargu między Niemcami a Rosyą, który dotkliwie się odbije na *przemyśle* niemieckim.

W Niemczech w ubiegłym tygodniu nie wydarzyło się nic ważniejszego. Dużo wrzawy wywołała jedynie wiadomość socyalistycznego *„Vorwaertsu,"* iż cesarz *Wilhelm* wobec ogromnego wzrostu socyalnej demokracyi zamierza zbudować dla siebie i rodziny *obronny* zamek na wyspie *Pichelswerder* pod Szpandawą. Wiadomości tej ze strony rządu stanowczo zaprzeczono, a odpowiedzialnego redaktora „Vorwärtsu" uwięziono. Swoją drogą czeka może *rząd pruski* przy zbliżających się wyborach do sejmu niespodzianka, jeszcze przykrzejsza, niż rezultat wyborów do parlamentu. Socyalna demokracya tak porosła w pierze w ostatnich latach, że kusi się już o zdobycie

kilkunastu mandatów także do sejmu pruskiego. Ponieważ zaś stronnictwo wolnomyślne w wielu okręgach bez jej pomocy nie zwycięży, więc łatwo być może, że zawsze z socyalną demokracyą kompromis i że dzięki temu kompromisowi z tuzin socyalistów wejdzie do gmachu sejmowego. Jakież to będzie przerażenie dla *junkrów pruskich!!*

Inna sprawa bezpośrednio bardziej nas obchodzi. W *Kolonii* nad Renem obradował w ubiegłym tygodniu doroczny walny wiec *katolików niemieckich* — centrowców. Przebieg tego wieca dał nam nowy dowód, ze centrum ubiega się usilnie o łaskę rządu i o możność odgrywania roli stronnictwa rządowego. Wszystkie mowy wiecowe nacechowane były ckliwym *lojalizmem* i *umizgami do rządu.* Nie dziw też, że z porządku obrad zepchnięto sprawę *duszpasterstwa dla Polaków w Westfalii i Nadrenii.* Zepchnięcie to zamaskowano rzekomemi względami na *władzę duchowną, której* podobno na zjeździe Biskupów w Fuldzie powierzono uregulowanie tej sprawy.

Był to czczy wybieg! Jeźli bowiem Centrowcom chodzi rzeczywiście o dobre, na sprawiedliwości oparte stosunki z Polakami, w takim razie powinni byli i w tej sprawie na wiecu zająć *jasne, wyraźne stanowisko,* co przecież w niczem by nie przynosiło ujmy stanowisku władzy duchownej. Ale tego widocznie chciano uniknąć. Okazuje się więc coraz wyraźniej, że ze strony Centrum *niczego już spodziewać się nie możemy, krom dalszego popierania hakaty.* Oby z tego wysnuły należyte konsekwencye te żywioły między nami, które łudząc się jeszcze co do pomocy centrowców, krępują u nas zawsze jeszcze zdrowy ruch narodowy, polegający na zasadzie: *pomóż sam sobie — a Bóg ci dopomoże!*

K. O.

Przegląd prasy.

Zacięta polemika toczyła się w ubiegłym tygodniu w pewnej części naszej prasy. Chodziło głównie o dwie sprawy, a mianowicie o zarzut przekupstwa, uczyniony powiatowi *grodziskiemu* i tworzącym wraz z nim okręg trzem innym powiatom przez ks. *Zdzisława Czartoryskiego,* oraz o stanowisko *„Wiarusa polskiego“* w Westfalii i o hasło *„precz z Centrum.“* Obie sprawy nie są nowe, lecz zawsze jeszcze dla społeczeństwa polskiego bardzo ważne. Pierwszą poruszył na nowo odbyty w niedzielę w *Opalenicy* wiec wyborców powiatu grodziskiego, który w energicznej rezolucyi zwrócił się przeciwko zarzutowi ks. Czartoryskiego. Dotknęło to boleśnie prasowy organ księcia *„Kuryera Poznańskiego“* więc zaraz pospieszył na pomoc zagrożonej jego pozycyi i sławiąc księcia jako „najlepszego syna Polski“ starał się osłabić znaczenie owej rezolucyi. „Kuryer“ twierdzi, że fakt, iż prokurator pruski nie znalazł w tej sprawie materyału do wytoczenia skargi o przekupstwo, nie dowodzi jeszcze, jakoby przekupstwa wcale nie było, że nie wszystko przecie, co nie sprzeciwia się wprost prawu, jest także *uczciwem,* a dalej starał się wmówić w opinią publiczną, że rzekome zamiary przekupienia wyborców nie dotyczą *samych wyborców,* lecz akcyi przedwyborczej. Te nie wstrzymujące pobłażliwej nawet krytyki „wykręty“ „Kuryera“ napiętnował dosadnio *„Goniec Wielkop.“*, który w końcu tak pisze:

„„Kur. Pozn.“ wie o tem dobrze, że przekupstwo przy przedwyborach czy też przy wyborach samych prokuratorya pruska na równi traktuje i ściga, mimo to twierdzi, że takie przekupstwa prawo niemieckie nie ściga, ale napiętnować je powinno nasze społeczeństwo.

„Społeczeństwo polskie, jeżeli co, to nieuzasadnione wystąpienie księcia Czartoryskiego należycie napiętnować powinno, nie zaś rzekome przekupstwa, ot tak sobie z powietrza schwycone, aby zohydzić wyborców-obywateli.

„Niechaj jednak nasi ugodowcy pamiętają o tem, że co było, to nie jest, że lud polski, to nie żadne „bydełko“, któreby się pozwoliło wodzić na smyczy ludziom, którym się wydaje, że z powodu tytułu majątku, stanowiska itp. wolno im robić, co im się podoba!

„Te czasy minęły bezpowrotnie — a kto się nie umie połapać w sytuacyi, tego należy nauczyć rozumu politycznego bez względu na to, czy on hrabia lub książę!“..“

Sprawą tego zarzutu zajmował się także *prowincyonalny komitet wyborczy dla W. Ks. Poznańskiego* jako najwyższa władza wyborcza, lecz jak ogłasza, „nie może żadnego zająć stanowiska, ponieważ mimo usilnych starań ani prezesowie komitetowi odnośnych powiatów, *ani książę Zdzisław Czartoryski nie dostarczyli mu żadnego materyału.*“

„Dziennik Berliński“ dodaje do tego oświadczenia komitetu następującą trafną uwagę:

„Powyższa deklaracya, podpisana przez wszystkich członków prow. komitetu z jego prezesem ks. dziekanem Antoniewiczem na czele, *zawiera pośrednio ciężkie potępienie postępowania księcia Z. Czartoryskiego i odnośnych prezesów komitetowych.*“

I my jesteśmy tego zdania. Czyż atoli społeczeństwo polskie, czy opinia publiczna u nas nie znajdzie sposobu do *zmuszenia* księcia do odwołania swego ciężkiego zarzutu i do *przeproszenia obrażonych wyborców?* Czyż książę sam nie poczuwa się do tego obowiązku? Tylko takie wystąpienie mogłoby go jeszcze zrehabilitować. W tej samej sprawie rozpisały się także inne nasze ludowe organa, a wszystkie raz jeszcze potępiły postępowanie „księcia pana“. Natomiast „wielki“ *„Dziennik Poznański“* zbył rezolucyą opalenicką kilku wprost pogardliwemi słowami.

Drugą sprawę — *westfalską* — wciągnął znów w wir dyskusyi i polemiki *„Orędownik“*, udzielając „Wiarusowi“ zarozumiałej rady, jak ma postępować, a zarazem karcąc go ponownie za *„wszechpolsko-krzykackie“* hasło „Precz z Centrum!“ Od pewnego czasu wychodzi bowiem w Dortmundzie kosztem centrowców a pod redakcyą niejakiego *Michała Łukowskiego* pismo *centrowe* w języku polskim pod tyt. *„Przewodnik na obczyźnie“*. Ten „Przewodnik“ znalazł niespodzianie przyjaciela w „Orędowniku“, który uważa go za *„poważną konkurencyą dla „Wiarusa“*. Na „uwagi“ „Orędownika“ odpowiedziała energicznie *„Gazeta Toruńska“:*

„Twierdzenia „Orędownika“ dowodzą, że p. dr. Szymański tylko o tyle uznaje hasła i programy ludowe, *o ile chodzi o szczucie jednych Polaków przeciw drugim,* ale drwi z ludu, lekceważy jego życzenia i wyszydza uchwały zebrań ludowych, jeżeli te uchwały nie są na rękę Niemcom a mianowicie centrowcom.

„W zatargach „Wiarusa Polskiego“ z centrowcami „Orędownik“ od lat dziesięciu prawie zawsze stawał po stronie centrowców i niezliczone razy przepowiadał „Wiarusowi Polskiemu“ upadek dlatego, że nie chce w polityce iść jego śladem. Widocznie zdobywanie abonentów to w oczach p. dra Szymańskiego jest *najważniejszem zadaniem wydawcy polskiego.* My tego zdania nie podzielamy a zresztą możemy p. dra Szymańskiego zapewnić, że „rozum „Wiarusa Polskiego“ wystarczył, aby zrozumieć, że tylko wtenczas wypadłoby mu obawiać się konkurencyi, gdyby według recepty „Orędownika“ chciał gwałcić wyrażaną w sposób legalny wolę ludu, coby mu zgotowało rolę bytomskiego „Katolika“ a wtenczas „Orędownik“ z pewnością pierwszy rzuciłby kamieniem na kierowników „Wiarusa Polskiego“, który dziś tylko to ma utrapienie, że jeden z jego redaktorów już trzeci miesiąc siedzi we więzieniu, wskutek czego redakcya jest przeciążona pracą.

„Zresztą kierownicy „Wiarusa Polskiego“ są dziś o byt pisma tego spokojniejsi, niż kiedykolwiek. Jeżeli zwalczają gadzinę centrową, czynią to nie przez samolubstwo, tylko w interesie narodowym. Pismo bowiem, założone na to, aby [illegible], co Polacy do tej pory w W[illegible] i Nadrenii zbudowali,

— mimo pochwał i poparcia p. dra Szymańskiego — pożytecznem być nie może. Nikt też — z wyjątkiem p. dr. Szymańskiego — szczucia w interesie Niemców jednych Polaków na drugich nie uznaje za pracę narodową."

Podobną odprawę otrzymał *„Orędownik"* od *„Górnoślązaka"*, i *„Gońca wielkopolskiego"*.

„Górnoślązak" tak pisze:

„„Orędownik", gdy był młodym, krzyczał, gdy znajdował się w sile wieku (1893 do 1898) także krzyczał, obecnie jako starzec wszedł na tory poważne i tylko od czasu do czasu wykrzykuje przeciwko Wszechpolakom.

„Radzimy „Orędownikowi" umiarkowanie w „krzykactwie" przeciwko Wszechpolakom, bo Wszechpolacy, którzy bezsprzecznie rosną w siły, mogliby mu stworzyć w Poznaniu niemiłą konkurencyę a wtenczas „Wiarus" mógłby mu, śmiejąc się w duchu, posłużyć tą samą radą o usunięcie niemiłego współzawodnictwa: „Orędowniku!" Zaprzestań krzykactwa przeciwko Wszechpolakom dla uniknięcia — konkurencyi!"

Sprawę duszpasterstwa naszych wychodźców na zachodzie Niemiec i naszego stosunku do *Centrum* omawia w obszernym artykule *„Kuryer Poznański"*. Artykuł ten grzeszy przesadną ufnością w dobrą wolę Niemców katolików, nadto zaś niemniej przesadną *ugodowością*. Mimo to zawiera ustęp, godny powtórzenia.

„Nie możemy — pisze „Kuryer" — wstrzymać się od horoskopu, że kiedyś dzieje wyrok *potępienia wydadzą na niemieckie społeczeństwo katolickie*, iż przez lata całe starało się o misye dla murzynów i Chińczyków i o duszpasterstwo dla Włochów przybłędów, a nie pomyślało jako ogół, jak się należało o swoich współwyznawcach i współobywatelach, którzy dostawszy się skutkiem zbrodni, popełnionej na ich ojczyźnie, pod wspólne z niemieckimi katolikami rządy dla wspólnego państwa wszelkie ponosili ofiary i życie nawet nieśli za nich w ich obronie, a nie doczekali się traktowania, jakiego obcy w obfitej mierze doznawali."

Jak „Kuryer Poznański" po tej trafnej ocenie społeczeństwa niemiecko katolickiego może mieć jeszcze *nadzieję*, że naprawi ono wyrządzane nam krzywdy, tego my zrozumieć *nie możemy*.

„Postęp" powraca jeszcze do niewyczerpanej kwestyi ratowania ziemi ojczystej i pisze między innemi:

„Nasze społeczeństwo polskie chcąc się utrzymać wskazane jest w pierwszej linii na *lud pracujący*, a pozbawiony posiadania ziemi, a dalej na znaczne zastępy mniejszych *gospodarzy wiejskich*, którzy jak mogą trzymają się ojczystego zagonu. Tutaj nasza praca narodowa powinna być wytężona, aby ten *lud roboczy*, aby tych *gospodarzy* utrzymać w świadomości narodowej, aby oni zastąpili ginącą szlachtę. Przy ludzie roboczym i gospodarzach wiejskich może się także ostać handel i rzemiosło polskie, byleby było należycie popierane.

„Lud polski zatem coraz więcej oświecać trzeba w poczuciu i świadcdomości polskiej, pouczać go trzeba i zachęcać do politycznego myślenia nad sobą samym i przedstawiać mu, że opiekunów polskich będzie miał coraz mniej, że jak sam myśli nad swą egzystencyą materyalną, tak samo będzie musiał myśleć nad swą egzystencyą narodową, więc wszędzie będzie musiał więcej samodzielnie występować."

Na wieść, że *Stolica św.* nosi się podobno z zamiarem nowego podziału kilku dyecezyi *niemieckich*, mianowicie odłączeniem dekanatu *kłodzkiego* na Ślązku od dyecezyi *pragskiej* a przyłączenia do dyecezyi wrocławskiej, porusza krakowska *„Nowa Reforma"* ponownie tylokrotnie już omawiana sprawę oddzielenia księstwa *cieszyńskiego* czyli Ślązka austryackiego od dyecezyi wrocławskiej i przydzielenia go do dyecezyi *krakowskiej*. „Reforma" tak się odzywa:

„Ostatni ten projekt podziału co do Kłodzka najbardziej nas interesuje, gdyż jest w odwrotnym stosunku zupełnie analogiczny do sprawy cieszyńskiej. Jeżeli możliwem będzie odłączenie pruskiej części dyecezyi praskiej i przyłączenie jej do dyecezyi wrocławskiej, dlaczegóżby nie miało być możliwem przyłączenie *cieszyńskiej* części dyecezyi wrocławskiej do dyecezyi *krakowskiej?* Czyż może dlatego, że w pierwszym wypadku wchodzi w grę *życzenie protestanckiego* rządu pruskiego, a w drugim tylko gorące pragnienie i żywotny interes „Poloniae semper fidelis"? — Czyżby pierwsze więcej znaczyło w oczach Watykanu, niż drugie?

„Jeżeli kiedy, to dziś właśnie sprawa ta stała się dla nas kwestyą pierwszorzędnej wagi. — *Wpływy ks. kardynała Koppa sięgają już do Krakowa*, jak to pokazały ostatnie znane wypadki. Tem bardziej więc obawiać się trzeba, że ks. Kopp jeszcze intenzywniej a zupełnie *swobodnie* zacznie uprawiać germanizacyę także w Cieszyńskiem. Jak najrychlej zatem należy oswobodzić tę część Ślązka z pod jego władzy.

„Obecnie, wobec zmian projektowanych co do granic dyecezyi pruskich, najlepsza do tego nastręcza się sposobność. Ze względu na to apelujemy raz jeszcze do Koła polskiego w Wiedniu, ażeby i tę sprawę na seryo i energicznie ujęło w swe ręce."

Red.

Głosy od Przyjaciół.

Kilonia, dnia 26 sierpnia.

Towarzystwo polsko-katolickie św. Józefa w Kilonii, założone dnia 14-go maja roku 1899, obchodziło dnia 9-go sierpnia czteroletnią rocznicę istnienia i uroczystość poświęcenia sztandaru. Aktu poświęcenia dokonał ks. Niemieo na polskich nieszporach. Ku uczczeniu uroczystości przybyło wiele osób z miasta i z okolicy; także zaszczyciło nas swą obecnością Tow. polsko katolickie Rękodzielników z Hamburga. Po nieszporach odbył się pochód na pięknie przyozdobioną salę „Hoffnung." Tamże pierwszy głos zabrał p. Michalak, przewodniczący naszego Towarzystwa, witając tak zamiejscowych jak też miejscowych gości oraz członków. Podczas koncertu przemawiali w pauzach prezesi Towarzystw. Po koncercie nastąpiło przedstawienie amatorskie, które się odbyło ku ogólnemu zadowoleniu. Po przedstawieniu bawiono się harmonijnie, ochoczo i wesoło do godz. 5-tej rano ku zadowoleniu wszystkich gości i członków.

Wszystkim nam przychylnym składamy najserdeczniejsze „Bóg zapłać!"

„Zarząd."

— Manuskryptów niezwracamy, nie przyjmujemy za nie żadnej i to żadnej gwarancyi, choćby były przysłane w liście zastrzeżonym (rekomendowanym). Kto więc do naszej Redakcyi przysyła manuskrypty, traci wszelkie prawo do zwrotu manuskryptów, a dalej w razie zagubienia manuskryptów traci też prawo do wszelkiego za nie odszkodowania, i to choćby interesent takowe sobie wyraźnie zastrzegł.

Redakcya i wydawnictwo „PRACY."



ZADUMANA

Wykonane w drukarni „Pracy“.
(M. Biedermann) w Poznaniu.

Dział illustrowany.

Z ojczystych stron.

Dar pani świętej.

„Kunegunda to pani święta
Ten, co do Polski, metal wprowadziła,
Od ojca Bele, który do nas z chęcią
Wnosi z pieczęcią.

O, mocna wiaro każdej sługi Bożej,
Co górę z miejsca na miejsce przełoży!
Ta sól przeniosła, z podziwienia światu,
Spodkiem Karpatu.“

Wespazyan Kochowski.

Jakoby pośród ogrójca, rozłożyła się słynna kopalniami soli, Wieliczka, w dolinie, u stóp pierwszego wzniesienia się Karpat. Miasteczko to skromne, większem, mimo swej starożytności, nigdy nie było, zabytków uwagi godnych nie posiadało i nie posiada. Do najznaczniejszych budowli miejskich należą: zamek, zwany dawniej żupą, zbudowany przez Kazimierza Wielkiego i opasany murem; kościół farny; kościół i klasztór reformatów; łazienki i szyby t. j. budynki górnicze, stanowiące wejścia do kopalni. Ludności miasteczko liczy około 6,000, domów 600.



Ogólny widok Wieliczki.

Jeżeli o samem miasteczku niewiele można powiedzieć, za to o kopalniach tomy pisać można. Fantazya ludu tak ich powstanie tłómaczy: Kinga (Ś-ta Kunegunda) córa Beli IV, króla Węgier, jadąc jako oblubienica Bolesława Wstydliwego do Polski, posagu w złocie ani srebrze wziąć nie chciała, natomiast prosiła ojca, aby jej darował taką rzecz, bez której zarówno bogacz, jak i nędzarz obejść się nie może. Otrzymawszy pozwolenie, obrączkę ślubną do żup węgierskich rzuciła, a stanąwszy w Polsce, kazała się zawieść do Wieliczki i tam ziemię kopać. Przy kopaniu znaleziono sól, a w pierwszym jej kawale obrączkę królowej.

Inna, o wiele piękniejsza legenda utrzymuje, że przed przyjazdem Kingi do Polski, nie było tam soli wcale. Kiedy posłowie Bolka Wstydliwego króla Belę o rękę córki prosili, królewna, dziwując się ich strojom bogatym, spytała: czegoby Polsce brakowało? Odpowiedzieli: soli. Udała się Kinga do żup węgierskich, pierścień ślubny w nie wrzuciła i rozkazawszy, aby jej nie budzono, usnęła. Wkrótce rozległy się pod ziemią straszliwe grzmoty, czem strwożeni górnicy, obudzili królewnę. Grzmoty natychmiast ucichły, lecz królewna odjechała do Polski rozżalona na górników. Naprzeciwko narzeczonej wyjechał z Krakowa król, spotkanie nastąpiło na wzgórzach leśnych, które Kinga niezwłocznie rozkopać poleciła. Uczyniono tak i oto znaleziono bałwan soli przezroczystej, wewnątrz którego pierścień ślubny Kingi płonął jako gwiazda. Odtąd sól z Wieliczki wydobywają nieprzerwanie. Podążyła ona bowiem z żup węgierskich za Kingą do Polski i byłaby do samego Krakowa doszła, gdyby królewny zawcześnie nie obudzono. Dokumenty jednak przekonywają, że z Wieliczki dobywano sól na długo przed Kingą a nawet można przypuścić, że wydobywano ją jeszcze za czasów pogańskich.

Pokłady wielickie powstały z dwóch osadów morskich, podzielonych olbrzymim okresem czasu. Składają się nie z samej wyłącznie soli, ta bowiem



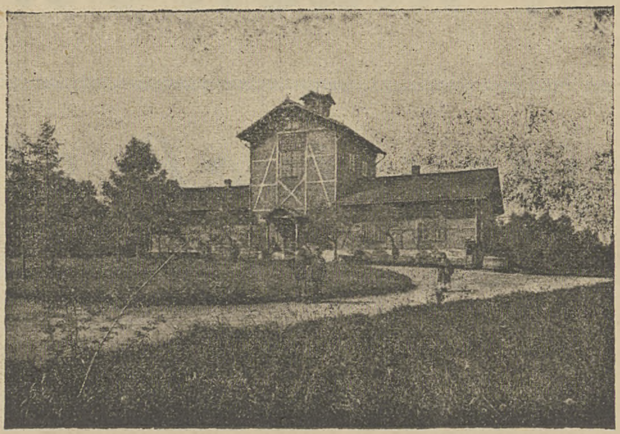
Kaplica św. Antoniego.

tworzy tylko warstwy lub bryły, osadzone w ile szarym, poprzedzielane gipsem lub anhydrytem (gipsem bezwodnym). Trzy w nich odróżniamy główne odmiany soli: *Zieloną* (właściwie szarą), wielkoziarnistą, zwaną też *błotnikiem* gdyż dużo iłu zawiera; błotnika nie wyrębują, zostawiają go w postaci filarów, dla zabezpieczenia kopalni. *Śpiżową,* zwaną tak z powodu, że przez górników ze Śpiżu pochodzących była dobywana; ta sól leży niżej, składa się z gęsto spojonych kryształów; gdy ma dużo obcych części zowie się *smolcem,* ponieważ odznacza się połyskiem smoły. *Szybikową*



Dworzec kolei hr. Gołuchowskiego.

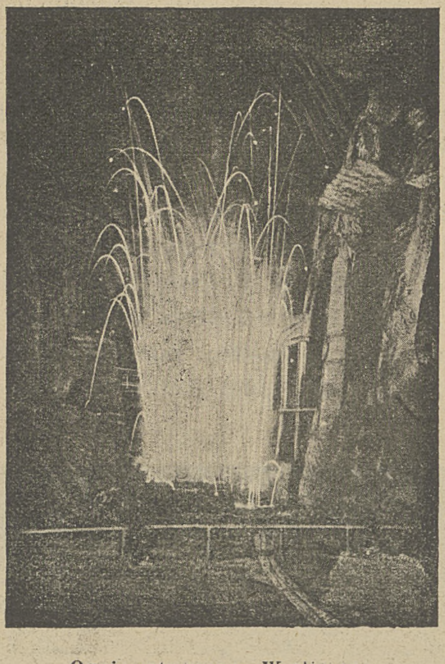
leżącą najgłębiej, wydobywaną zwykle *szybikami*, t. j. szybami nie dochodzącemi do powierzchni ziemi, ale do jednego z piętr; ta znów odmiana jest jasnoszarą, drobno-ziarnistą lub kryształową. Istnieją jeszcze w Wieliczce: *sol trzeszcząca*, wielkoziarnista, czysto-szybikowa, trzeszcząca z powodu gazu w niej zawartego; *sol szpak*, tworząca w iłach żyły grube, białe; *sol oczkowata*, kryształowa, brudno-biała, osadzająca się z wód, które się dostają do kopalni. Długość pokładów wielickich obliczają na 1,500 sążni, szerokość zaś na 500; stąd pochodzi dawny podział powierzchni na 3 *góry*: *stare góry* gdzie są szyby najdawniejsze, *nowe góry* i Janina, otworzone w r. 1718, obecnie zamknięte (nazwane od imienia Jana III).



Szyb zjazdowy.

Dziś kopalnia dzieli się na pole *wschodnie i zachodnie*, w których wycięto 11 studzień czyli *szybów* (nie licząc w to dawnych obecnie zasypanych), a te ponakrywano ostrokręgowemi dachami.

Zwiedzający kopalnie spuszczają się szybem arcyksięcia Rudolfa na pierwszy poziom do głębokości 66 metrów, lub schodzą szybami Franciszka, po 260 wschodach, następnie zaś pochyłym chodnikiem po 190 stopniach do podszycia arcyks. Rudolfa. Tu znajduje się kaplica S-go Antoniego, wykuta z soli przez nieznanego górni-



Ognie sztuczne w Wieliczce.

ka w r. 1698. Ołtarz główny w niszy głębokiej wyobraża Mękę Pańską, przed którą Bogarodzica oddaje Dzieciątko Ś-mu Antoniemu. Grupę otaczają słupy kręcone, przy nich stoją figury boczne SS. Stanisława i Klemensa; na stopniach ołtarza klęczą 2 figury zakonników. Po prawej stronie głównego ołtarza Marya Magdalena i S-ty Jan pod krzyżem, po lewej posąg Augusta II. Są tu jeszcze ołtarze S-go Franciszka, S-tej Katarzyny i ambona z figurami SS. Piotra i Pawła. Zdumiewa zaiste, że wszystkie figury nie są utworzone z części, lecz z soli zielonej wykute. Msza odprawia się w kaplicy kilka razy do roku.

Z kaplicy przez komorę Urszuli przechodzimy po 120 stopniach obok obrazu S-tej Kunegundy na drugi poziom, do pieczary Michałowice, 18 metr. długiej a 28 szerokiej, wspartej całym lasem wiązań sosnowych; tu widzimy świecznik z soli kryształowej o 300 świecach, od stropu do dołu prowadzi 160 schodów, kunsztownie, na ścianie ułożonych. Przez komorę Drozdowice dostajemy się do komory Franciszka, odbudowanej przez most 29 metr. długi, zwieszający się nad otchłanią 26 metr. głęboką; zamykają go piramidy, wzniesione na cześć cesarza Franciszka, cesarzowej Karoliny i arcyks. Rudolfa. Wygodny chodnik Lichtenfelsa prowadzi do wielkiej komory Fryderyka a ztąd dostajemy się na trzeci poziom, do głębokości 114 metrów. Następnie przez komorę Elżbiety dostajemy się na dworzec hr. Gołuchowskiego, zwanego dawniej Walczynem, gdzie zbiegają się podziemne tory kolejowe ze wszystkich stron kopalń. Długim chodnikiem Hauera przechodzimy do największej komory Steinhausera, 48 mtr. wysokiej, połączonej z drugim poziomem. Tu zwykle, dla oświecenia olbrzymiej przestrzeni, unosi się kilku górników na linie pod strop, z pieśnią religijną na ustach, a zwiedzający mają sposobność poznać straszliwą, bardzo niebezpieczną „jazdę piekielną“, która niedawno jeszcze była jedynym sposobem przedostawania się z niższego poziomu na wyższy.

Z komory Steinhausera prowadzi chodnik na trzeci poziom do jezior słonych, 4 mtr. głębokich, potem przez komorę Św. Krzyża z kaplicą, oraz przez olbrzymią pieczarę, zwaną Piaskową Skałą, dochodzi się do pierwszego poziomu, do sali Łętów, przeznaczonej na salę balową, z której wreszcie przedostaje się zwiedzający do szybów Rudolfa i Franciszka.

Wszelkie owe schody, mosty, komory i chodniki doskonale zabezpieczone, można je przeto zwiedzać zupełnie bez obawy. Poziomy niższe również są bardzo ciekawe, chociaż nie posiadają tak obszernych pieczar, lecz zwiedzać ich nie wolno.

Górnicy wieliccy stanowią świat odrębny, zamknięty w sobie, całem sercem do ciężkiego zawodu przywiązany, poczciwy i głęboko religijny. Usposobienie ich, charakter, odbija się niby w zwierciadle w zwyczajach, zabawach, tradycyach a zwłaszcza w legendach, pełnych poetyckiego polotu, z treścią zawsze na wskroś moralną. Niektóre z nich chociaż pobieżnie opowiemy. O powstaniu jeziora w komorze Rozety (Rosseti) taką wytworzono gadkę. Zwykle górnicy, schodząc do szybu na robotę, zaopatrują się w bochenek chleba, który im w czasie odpoczynku służy za posiłek. Owóż kiedyś żył bardzo litościwy terlarz (tj. górnik, pracujący w sztolniach, bo pracujących w szybach nazywają lenszownikami), który zawsze połowę chleba swego dawał jakiemu biedakowi. Raz biednego zabrakło, terlarz jednak zostawił cząstkę ofiarną



Obelisk

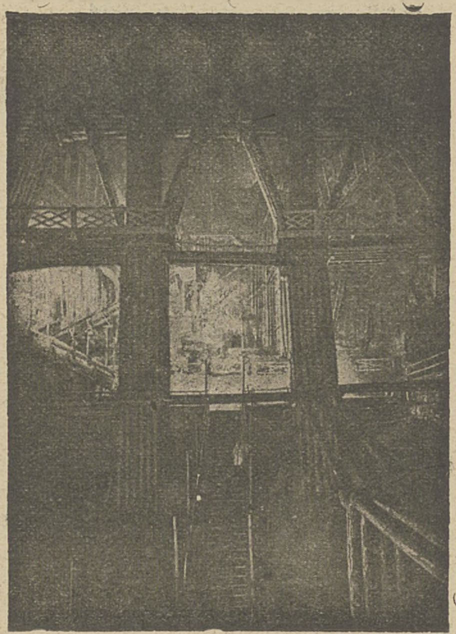
na kamieniu, myśląc — przyjdzie biedny to zje. — Zamiast biednego chleb zjad czart, a gdy wrócił do piekła, głośno się z tem pochwalił. Dyabli jednak nietylko zganili towarzysza, ale skazali go, żeby przez cały rok pomagał, za karę, w pracy terlarzowi. Musiał się na to zgodzić łakomy bies, przez rok bił piece i sztolnie, gdy zaś

przyszło za to odbierać zapłatę, zauważył, że dozorcy skrzywdzili terlarza na swoją korzyść. W dzień po obrachunku, czart namawiać zaczął terlarza, aby na krzywdzicielach się pomścił. Terlarz jeno głową wstrząsnął — chybaś ez piekła rodem, kiedy mnie do bezbożnego uczynku namawiasz, rzekł. Bies sądząc, że został istotnie poznany uderzył w ścianę kopytem tak silnie, że się rozwarła, a z otworu trysnęła woda, w którą szatan dał nurka i zniknął. Z wody onej utworzyło się jezioro w komorze Rozety.

Inna legenda opowiada, że źródła podziemne Wieliczki łączą się z Gdańskiem. Zdarzyło się, że górnicy klinami żelaznemi odwalili ogromną bryłę soli, ważącą 200 centnarów, a ta spadłszy ze znacznej wysokości, ciężarem swoim dno szybu przebiła. W otworze ukazała się woda, płynąca podziemnym korytarzem. Górnicy zaciekawieni, dokąd ten strumień płynie, puścili na niego kaczora, z jedwabną na szyi wstęgą, który pod Gdańskiem aż wypłynął.

Krzywdzicieli górników srodze Bóg karze, jak dowodzi ta znów legenda: Był kiedyś dozorca bardzo dla górników niesprawiedliwy. Długo grzeszył bezkarnie wreszcie przypadł na niego kres. Niesłusznie zaprzeczył pensyi biednej po górniku wdowie, a chociaż ta wszelkie przemawiające za nią racye stawiała, od swego odstąpić nie chciał. Nazajutrz po odprawieniu biednej wdowy z kwitkiem, przechodził około kaplicy św. Antoniego i zadrżał nagle, usłyszawszy ciężkie za sobą stąpanie. Obejrzy się i widzi z przerażeniem postać w czerwonym płaszczu, która mierząc go surowym wzrokiem, rzekła powoli: — Przygotuj się na śmierć! — Jakoż złego dozorcę trzeciego dnia ziemia zasypała żywcem.

W korytarzach wielickich często można spotkać uroczyste orszaki duchów kopalni. Zdarzyło się, że pracującemu samotnie górnikowi zgasła lampka, ale ponieważ spostrzegł z oddali zbliżające się światełko, przeto czekał bez obawy, mniemając, że to który z towarzyszów nadchodzi. Naraz za pierwszym płomykiem zajaśniał drugi, dziesiąty, setny... dalej długim szeregiem drugie sto, trzecie czwarte... Płomyki pomykały zwolna, w ordynku, coraz się zbliżając... Górnik zdjął czapkę i modląc się, przypatrywał dziwnemu pochodowi, rozpoznał tłumny orszak jakby posągów w soli kutych, w czarnych strojach gór-



Michałowice.

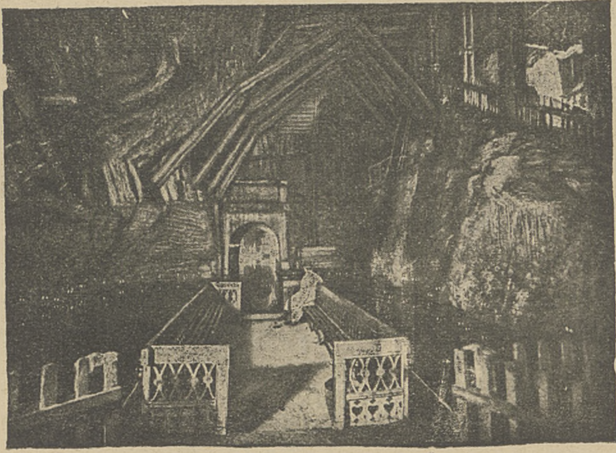
niczych, bogato osypanych różnobarwnemi kryształami i innemi świecidełkami. W środku szedł snać król ukoronowany mitrą złotą, zdobną w kwiaty solne, osłonięte płaszczem przeźroczystym, a przed nim niesiono, przymocowaną do oszczepu z kości słoniowej chorągiew płomienną, z cyfrą srebrną „1000“. Każdy z tej rzeszy niósł złoty kaganek na takim samym łańcuchu, a król podpierał się złotym toporem i nim, tuż obok górnika, w ścianę solną uderzył, aż się rozstąpiła na dwoje. Wszyscy zaczęli wstępować do otworu, ostatni zaś duch nalał ze swej lampy złotej oliwy do kaganka górnika, oddał mu go, palcem nakazał milczenie i za innymi poszedł. Ściana się natychmiast bez śladu zawarła. Przez siedm lat świecił górnik otrzymanym od ducha olejem, lecz do śmierci się nie dowiedział, co oznaczał tajemniczy pochód, a zwłaszcza cyfra „1000“ na chorągwi. Domyślał się jeno, że chyba jeszcze lat 1000 kopalnie istnieć będą.

Kiedyś pokazywano w Krakowie jasełka a w nich pomiędzy innemi, taki był epizod: Wysuwano krajobraz Wieliczki, nad nim zaś, w obłoku, widniała Ś-ta Kunegunda, w habicie zakonnym, płaszczu gronostajowym, z koroną na głowie, niosąca w ręku bryłę soli. Żacy śpiewali:

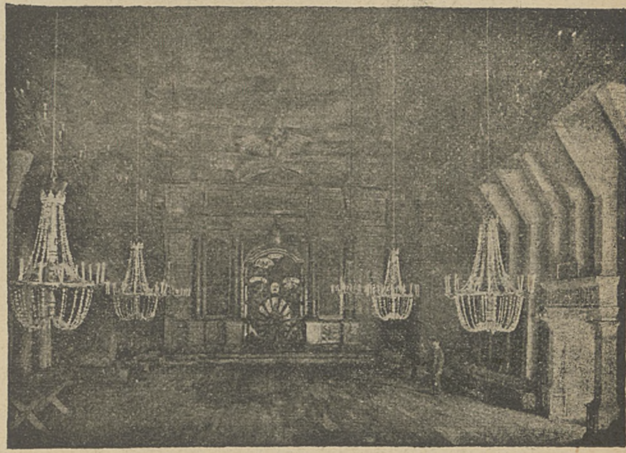
To jest krakowska Wieliczka!
A nad nią stoi w obłoku
Z palmą i berłem przy boku,
Kamiennej soli dziedziczka.
Jest to Ś-ta Kinga owa,
Polskiego ludu królowa,
Co to z przejrzenia Bożego
W Wieliczce cudem odkryła
Sól dla narodu polskiego —
I chleb polski posoliła.
Znajże ludu, znajże ludu!
Że to tobie, łaską cudu,
Bóg przez Kingę wskazał z nieba
Sól do powszedniego chleba!
Na lat tysiąc jest zapasów —
Jest to twoja, ludu bania,
I za dawnych ongi czasów
Była sól dla kmieci tania.
Jako mówią starcy.

Kopalnia zajmuje stale około 1000 robotników i wydaje przecięciowo 80,000 ton soli rocznie, wartości 8 mil. koron. Przewóz soli w kopalniach dokonywa się na kolejach konnych, na powierzchnię ziemi wydobywa się działaniem 5 machin parowych o sile 260 koni; oprócz tego czynnych jest jeszcze 10 machin parowych o sile 628 koni. Do mielenia soli istnieje 5 młynów parowych.

M. Syn.



Grota arcyksięcia Rudolfa.



Sala balowa „Łętów“.

Album posłów polskich

w parlamencie niemieckim.

XI.

Poseł Maciej hr. Mielżyński.

Należy on do „nowych ludzi“ w Kole. Ostatnie wybory wprowadziły go do Koła. — Jest to zajmująca nader osobistość.

Urodził się dnia 13-go października 1869 roku. Po ukończeniu kursów gimnazyalnych, które odbywał w gimnazyum francuzkiem w Berlinie, następnie w Lesznie, dłuższy czas spędził w Monachium, gdzie oddawał się studyom prawnym, pielęgnując zarazem wybitny swój talent malarski. Potem wstąpił w stałą służbę wojskową i został oficerem w pułku gwardyi kirasyerów. — Pięć lat nosił mundur. Nikt nie byłby ówczesnemu lejtnantowi prorokował, że wyłoni się z niego jeden z najgorliwszych agitatorów polskich. — Takim okazał się bowiem w okręgu międzyrzecko-babimojskim, gdzie dzięki jego pracy znaczny uwydatnił się przyrost głosów polskich, — takim poznano go również w okręgu obornicko-skwierzyńsko-szamotulskim, gdzie bez pomocy centrum wywalczył sobie mandat poselski.



Poseł Maciej hr. Mielżyński.

Młody, pełen zapału, ogromnie zdolny obywatel — oby ziścił te nadzieje, które lud w nim pokłada.

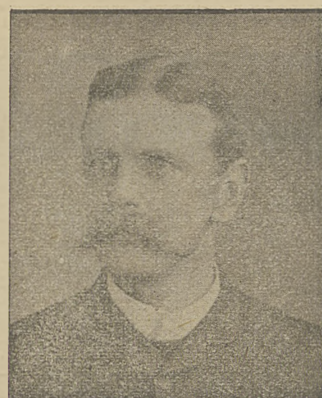
* * *

XII.

Poseł Józef Mycielski.

Nazwisko jego w ostatnich czasach raz po raz rozbrzmiewało głośniej. Występował bowiem na łamach pism z artykułami, — które często charakteryzował oryginalny, jasny pogląd. — Do „Koła“ wprowadziły go ostatnie wybory. Reprezentuje okręg rawicko-gostyński.

Urodził się 1863 roku w Kobylopolu. Ukończył gimnazyum w Poznaniu, następnie oddawał się studyom ekonomicznym. — Obecnie zamieszkuje w Berlinie.



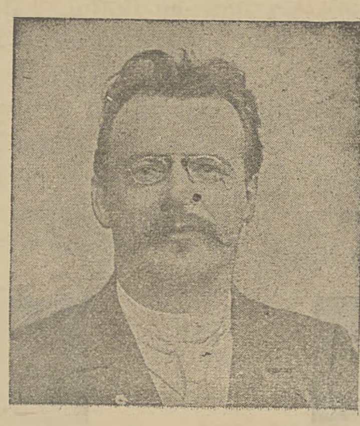
Poseł Józef Mycielski.

* * *

XIII.

Poseł dr. Antoni Chłapowski.

Do parlamentu wprowadzają go ostatnie wybory. Poprzednio jednakże był już posłem do sejmu. Urodził się 11-go stycznia 1855 r. w Ustaszewie. Gimnazyum ukończył w Poznaniu. Potem słuchał medycyny we Wrocławiu i Halli. — Od roku 1887 praktykuje jako lekarz w Poznaniu. Mandat odziedziczył w spuściźnie po drze Zygmuncie Dziembowskim z okręgu pleszewsko-jarocińsko-wrzesińskiego.



Poseł dr. Antoni Chłapowski.

(Dokończenie nastąpi.)

Hymn

do Królowej naszej

na dzień 8-go września.

Radosne pienia brzmią w światach tajemnych,
Wesele chóry cherubinów głoszą,
A wieść zefirów szepty nam przynoszą,
Że dzień Maryi dziś w strefach nadziemnych.

Echo dochodzi do polskiej ziemicy,
Dziękczynne modły słyszymy dokoła,
A lud pobożny śpieszy do kościoła
I niesie pokłon Przeczystej Dziewicy.

Pomny na przodków, kiedy w bitwach srogich
Pod Jej sztandarem nasze hufce stały,
Gdy szedł do boju śmiało Orzeł Biały,
Broniąc pamiątek po pradziadach drogich.

Pomny, że Marya Szweda zwalczyła,
Kiedy zuchwale szedł na Częstochowę
I Bozką rączką starła wrogą głowę
I Swój przybytek cudami wsławiła.

Idźmy dziś do Niej, oddajmy Jej serce,
Dajmy Jej wszystko co mamy drogiego,
Ona nas przyjmie do łona świętego,
Żyć nie pozwoli nadal w poniewierce.

Marya kocha wszystkie polskie dzieci,
Chętnie im w trudach, niedoli pomoże,
Lecz prosić trzeba z ufnością, w pokorze,
A wybawienia gwiazdą nam przyświeci!

* * *

O! Pani święta, Tyś Królową naszą,
Matką najlepszą, którą miłujemy,
W ręce Twe nasze losy oddajemy,
Osłoń opieką całą ziemię laszą!

Uśmierz łaskawie nasze łzy, cierpienia,
Oddalaj od nas błyskawice, gromy!
Ochroń przed wrogiem wszystkie polskie domy,
Udziel w codziennych walkach ukojenia!

Do stóp Twych świętych dzisiaj my padamy,
Spojrz litościwem okiem na Twe sługi,
Czas upokorzeń, boleści zbyt długi,
Wybaw nas, Pani, w prochu Cię błagamy!

. . . .
. . . .
. . . .
. . . .

Królowo nieba! w Twoją moc wierzymy,
Tyż nie opuszczaj nas, Dziewico święta,
Cudów Twych licznych, siła niepojęta
Módl się za nami, o to Cię prosimy!

Poznań, we wrześniu 1903.

Stanisława R.

Obrona Wrocławia.

Obrazek historyczny.

W roku 1241, spadła na Polskę straszna klęska: od stepów mongolskich z głębi Azyi nadciągnęła niezliczona chmara Tatarów i spustoszyła ją ogniem i mieczem. Już poprzednio naszli na Ruś, podzieloną na drobne księstwa, wiecznie kłócącą się z sobą, a przez to słabą i do oporu niezdolną. Polska także nie była jeszcze wtedy zjednoczoną, nie miała więc siły do obrony przeciw wielkim masom Tatarów.

Bolesław Wstydliwy, żonaty ze świętobliwą królewną węgierską, Kingą, kilka razy próbował powstrzymać napady najezdników, ale poniósłszy ciężkie klęski, musiał uciekać w Karpaty. Krakowianie także opuścili miasto,chroniąc się wraz z dobytkiem w góry i lasy. Cały kraj został wydany na pastwę Tatarom, którzy gospodarowali w nim po swojemu, mordowali, palili i rabowali. Tam, gdzie przeszli, nie został kamień na kamieniu; mieszkańcy albo wyginęli, albo szli do niewoli, gorszej od śmierci. Ziemia, zdeptana kopytami końskiemi, przesiąknięta krwią, zmieniła się w pustynię. Hordy mongolskie, spaliwszy opuszczony przez mieszkańców Kraków, ciągnęły z kolei na Ślązk, ludny i bogaty. Panował tam wówczas książę Henryk, Pobożnym zwany, syn św. Jadwigi, rycerz tak waleczny i nieustraszony, że sama matka o nim mówiła: „Gdyby się ten człowiek nie bał Pana Boga, to by cały świat zawojował''.

Przyłączyli się do niego inni książęta pokrewni ze swoimi hufcami i rycerze, którzy pragnęli walczyć z poganami, ażeby mieć zasługę u Pana Boga. Wszystko to wojsko zebrało się w Lignicy, zkąd w Wielki Poniedziałek wyruszyło przeciw Tatarom, wysłuchawszy przedtem nabożeństwa w kościele Panny Maryi. Otóż zdarzyło się, że kiedy książę Henryk siadł na konia, ogromny kamień oberwał się z wieży kościelnej i padł koniowi pod nogi.

Na Dobrem Polu pod Lignicą nastąpiła bitwa. Chrześcijanie walczyli jak lwy, ale Tatarów była moc wielka, cztery razy tyle, a przytem mieli oni proch od Chińczyków, jeszcze wówczas w Europie nie znany i w ten sposób go używali, że na szczycie chorągwi zatykali poczwarną głowę z rozdziawionym pyskiem, z którego buchał ogień i dym bardzo smrodliwy. Wystraszone wojska chrześcijańskie myślały, że to czary i poszły w rozsypkę. Pogrom był straszny, dość powiedzieć, że kiedy chan tatarski dla przekonania się, ilu jest poległych nieprzyjaciół, kazał każdemu trupowi obcinać jedno ucho, przynieśli mu dziewięć worów uszu. Książę Henryk także poległ, a Tatarzy ucięli mu głowę i obnosili na włóczni.

Matka jego, księżna Jadwiga, zamieszkała w odległym klasztorze trzebnickim, przez nią założonym, tej samej no[illegible] zawołała siostrę Denmudy, do której mia[illegible] wielkie zaufanie i rzekła do niej: „Wiedz [illegible]mego, już on [illegible] o tem, że już ja utraciłam mego syna jedy[illegible]." Bóg jako ptak odleciał odemnie. [illegible] objawił jej to nieszczęście, gdyż [illegible]piero czwartego dnia przybiegł posłaniec z okropną wiadomością.

Po bitwie pod Lignicą, Tatarzy pociągnęli na Wrocław. Przeorem tamtejszego klasztoru O.O. Dominikanów, fundacyi księcia Henryka Brodatego i księżny Jadwigi, był wówczas człowiek wielkiej wiary i cnoty, Czesław Odrowąż, brat św. Jacka i bł. Bronisława, synowiec bł. Iwona, biskupa krakowskiego, także po śmierci w poczet błogosławionych zaliczony. Sam św. Dominik przyoblekł go w Rzymie w sukienkę zakonną.

Obdarzony duchem wieszczym, Czesław przewidział napad Tatarów i zawczasu przestrzegał mieszkańców, ażeby się gotowali do obrony. Idąc za przykładem Krakowa, Wrocławianie sami spalili swoje domy, ukryli skarby i nagromadziwszy zapasy żywności, schronili się do warowni na wyspie, oblanej zewsząd rzeką Odrą. W dzień Wielkiejnocy, kiedy cały świat chrześcijański obchodził pamiątkę Zmartwychwstania Pańskiego, na drugim brzegu Odry zaroiło się od Tatarów. Garstka ich przebyła nawet wpław rzekę i zbliżyła się pod same mury.

Na widok tych szpetnych twarzy o skośnych oczach i wyrastających policzkach, trwoga ogarnęła mieszkańców. Czesław wraz z innymi zakonnikami, krzepili w nich ducha i dodawali odwagi, napominając, iżby, w razie potrzeby, ochotnie śmierć męczeńską ponieśli. Zdawało się, że czeka ich nieuchronna zguba, gdyż Tatarzy biegli w szturmach, rychło zdobędą warownię. Wówczas w tem ciężkiem strapieniu udali się do Czesława, błagając go, aby wstawił się za nimi do Boga.

Świętobliwy przeor modlił się żarliwie, odprawił Mszę świętą i o świtaniu wyszedł na wały, jak gdyby sam chciał stawić czoło nieprzeliczonym zastępom pogańskim. I oto stał się cud, wyproszony przez sługę Bożego: zerwała się straszna burza, ciemności ogarnęły niebo i ziemię, a wśród nich widać było na wałach białą postać zakonnika w ogniu błyskawic. Jednocześnie kule i słupy płomienne zaczęły spadać na Tatarów, co rzuciło na nich taki popłoch, że bezładnie uciekli. Już drugi raz nie wrócili i Wrocław ocalał, dzięki Czesławowi.

Pod murami została tylko garstka pogan, którzy poprzednio przepłynęli Odrę. Wodzowi ich znane już były przedtem dogmaty chrześcijaństwa. Na widok cudu uwierzył w Boga i zażądał chrztu, a za jego przykładem poszedł cały oddział. Kilku wstąpiło do nowicyatu i pod kierunkiem świętobliwego przeora, kształciło się na przy[illegible]h misyonarzy narodów mongolskich.

Z. S.

OKRĘŻNE.

Szkic z natury.

Dzień sobotni zbliża się ku końcowi. Słońce w postaci wielkiej kuli ognistej stacza się za góry i lasy, a ożywcza rosa opada na trawy i łąki.

Do stodoły, brzemiennej zbożem kłosistem, wjeżdża ostatnia furka owsa... Zuchowaty fornal trzasnął z bicza, konie parsknęły raźno, i oto dziewki z chłopakami biorą się z pośpiechem do zrzucania z wozu. Pracują chłopcy, że im pot oczy zalewa, wtórują im dziewczęta, nasłuchując jeno chwilami, czy muzyka nie idzie...

Już kończą... Brzęknęły klucze w rękach gumiennego, zaskrzypiały wrota i — stodoła zamknięta.

Wybiegły dziewki, wybiegli chłopcy: patrzą na drogę. Hen, z za góry widać tuman kurzu...

Dylu, dylu, dylu, dylu... skrzypią skrzypki — wuw, wuw, wuw... mruczy bas.

Już bliżej, bliżej... „Graj - że, grajku, będziesz w niebie, a basista koło ciebie!''

* * *

Słońce już zaszło, noc czarnym całunem okryła ziemię. Przed dworkiem dziedzica wesoło i gwarno.

Światła jarzą się w oknach, niby w kościele, a na dworze pozastawiane stoły uginają się pod ciężarem jadła. Na ganku stoi dziedzic, przy nim dziedziczka, dzieci, rządzca, domowi... — a wkoło ganeczku ciśnie się gromada ludu... Wszyscy tam są: i starzy i dzieci.

W tem gwar cichnie. Od strony podwórza dochodzą dźwięki muzyki i śpiew:

„Plon niesiemy, plon — dziedzicowi w dom!“

To przodownice idą... Za chwilę już są przed gankiem — hoże, zgrabne, jak łanie, a wesołe, a skrzy im z oczu, zda się, że skry sypią...

„Plon niesiemy plon
Dziedzicowi w dom.
Żeby żyto plonowało
Po sto korcy z morgi dało
Na okrężne nam!“

Dwie dziewki występują naprzód i podają dziedzicowi piękny wieniec, uwity z kłosów zboża wszelakiego, z wetkniętym gdzieniegdzie habrem, makiem lub złoconym orzechem.

Rozrzewniony dziedzic ze łzami w oczach dziękuje, a dziewki zwracają się do pani:

„Przede dworem biały kamień
Nasa pani siedzi na nim
Siedzi, siedzi, spogląda się
Jak to róża rozwija się.“

Potem do panienki:

„A panienka kiej lilija
Po pokoju się uwija.“

Do panicza:

„Przede dworem świecą się guziki
A nas panic wykręca wąsiki.“

Przychodzi kolej i na rządzcę:

„Naszemu panu rządzcy dać zegarek złoty
Ze nas dobrze przypilnował w polu u roboty.“

Nie omijają i gospodyni, karbowego, kucharza i służącej...

A dziedzic tymczasem częstuje wódką starszych chłopów i parobków. Pani znów z gospodynią uwijają się koło mis.

A czego tam niema? I baran, i kapuśniak, i ogórki kwaszone, mizerya, chleb, bułki, owoce, sery, nawet cukierki dla małych dzieci. Jedzą wszyscy i piją... Radość ogólna, gwar, śmiech, zadowolenie...

— Hej, muzyka! Rżnij od ucha!

Zaskrzypiały skrzypki, zamruczał bas, zawtórowały im śpiewy wesołe...

Starszy parobek podchodzi do dziedziczki, ściska ją za nogi i prosi do tańca... Za nimi dziedzic z przodownicą, panicz, rządzca, wreszcie parobczaki z dziewkami — wszystko sunie, aż kurz się z ziemi podnosi...

Oj dziś, dziś!.... oj dziś, dziś!..

Rozigrał się oberek...

Muzyka zwalnia nieco biegu... zwalnia tempo i za chwilę już podryguje poleczka, wesoła, spokojna, rzekłbyś dla odpoczynku raczej, nie dla tańca.

I znów oberek... Znów szaleje, wichrzy się, podrywa, czasem zwalnia, to znów unosi, a wciąż hołupce, przytupywania ,okrzyki!... Wywija ludek — do zabicia! Byle dziś, byle dziś — byle do rana!

* * *

Ranek. Szary świt budzi naturę z uśpienia.

Grzmi muzyka w izbie folwarczanej, wtorują jej raźne hołupce i okrzyki wesołe:

A zawracaj od komina, a uważaj której nima!...

Szaleje oberek...

— Na odsibkę! — huknie jeden z parobków.

I wszystkie pary zawracają w lewo i tańczą jeszcze ogniściej, jeszcze zamaszyściej, aż drzazgi się sypią z podłogi..

Wtem zjawia się karbowy.

— Dosyć, dosyć na dziś!

Gdzie tam! Ani słuchają... Ludzka siła nie mogłaby ich powstrzymać.

Oj dziś, dziś — byle dziś!

Wykrzykują i wiją się pary jedna za drugą, a nad głowami unosi się tuman kurzu...

...Po rosie płynie cienki głos sygnaturki, wzywającej ludzi na modlitwę poranną...

Posłyszeli go tancerze. Zatrzymali się — muzyka urwała — i poczęli się zwolna rozchodzić, jeno pod ławą zostało dwóch czy trzech parobków, którym gorzałka nadto w nogi się wdała.

Bol. Gorczyński.

Nad Wisłą.

Płynie modra Wisła, płynie od Karpat do Gdańska. Płynie od morza sinego, do sinego Baltyku. Brzegi jej porosły wierzby smętne, brzozy srebrne i smukłe topole. Za drzewami ciągną się łany złociste, a bliżej miejsca jej narodzin wysokie góry.

Wszystko to: modra woda wiślana, drzewa, co ją strzegą, bujne łany i góry wielkie, wszystko zalane potokami światła. Słońce szle jasne promienie, a fale Wisły skrzą się i przelewają bogactwem brylantów i złota. A drzewa, co stoją nad Wisłą w szacie zielonej, uśmiechają się do niej i w falach jej przeglądają się wdzięczne postacie.

Wszystko rozkoszne, wesołe, śmiejące się.

* * *

Na brzegu siedzi Jasiek w białej koszulinie, porzucił obok na trawie zielonej fujarkę, niebieskie oczy utkwił w falach Wisły i duma. Duma o tej kochanej Wiselce, gdzie płynie i dlaczego tak zawsze i ciągle, odkąd on Jasiek pamięta, płynęła i nie zatrzymuje się ani na chwilę ,chyba zimą, gdy mróz powłóczy jej wody białą, szklistą jak zwierciadło powłoką. Ach! Jak on chciałby być tą jaskółką, co krąży nad wodą, buja w przestworzu i gdzieś daleko odlata. On chciałby też polecieć daleko, chciałby z orylami na tratwie, ale matula nie pozwalają, bo on w chacie jedynak, jej ukochany i ostatni. A on matulę też kocha, ale jak patrzy na Wisłę, co bieży tak ciągle, na jaskółki co latają tak prędko, to go cosik szarpie we wnętrzu, serce mu się kołacze i czasem zda mu się, że także ma skrzydła, tak chciałby daleko polecieć. Słonko takie jasne, Wisła taka modra, świat taki duży i śliczny, dusza rwie mu się do niego, ale on taki mały, słaby i skrzydeł nie ma. Smutno mu.

Żeby matusia pozwolili, pojechałby sobie na tratwie Wiselką, bo on tę Wiselkę miłuje, okrutnie miłuje. Pojechałby hen! w daleki świat, widziałby tyle, wiedziałby tyle. A potem, potem po latach, już duży chłop, wróciłby do chaty, pokłonił się rodzicielce, ścisnął za kolana, ludzie ze wsi zbiegliby się oglądać go, a onby im opowiadał cuda i dziwy, co widział na szerokim świecie.

On wie o cudach na świecie, bo raz panienka ze dworu, śliczna i dobra jak anioł, co wszystkich chłopców cieszy w niedoli i uczy na książce, dała i jemu książeczkę, ślicznych obrazków pełną, o tem, co jest na świecie. On ją przeczytał i odtąd tak chciałby to widzieć i polecieć z Wisłą w świat...

* * *

Wisło! matko nasza, czemu zasępiło się niebo nad tobą, a błękit twych wód poszarzał i lejesz łzy. Nad czem cierpisz, co opłakujesz?

„Minęły wesołe, słoneczne dni, drzewa bezlistne ze smutkiem patrzą w wody moje i Jaśka już niema. Jakże nie cierpieć, nie płakać?“

Tak, nadeszła jesień posępna i ach! błękitne Jaśka oczy nie patrzą w fale Wisły.

Jaśko poleciał w świat, lecz nie na wiślanych falach.

Żelazny, długi wąż, ziejący parę przeleciał przez cichą wioskę i zabrał syna matuli. Zobaczył Jasiek świat upragniony. Pojechał, lecz nie wrócił, pojechał i świat go zgubił — zginął Jasiek marnie.

Dziwny, niepojęty świat! Taki cudny i nieskalany, gdy ty go Wisło

ukazujesz na wybrzeżach swoich, a taki złudny, ciemny i zły, gdy żelazny, parowy wąż rzuca weń Jaśka czystego z prostem, chłopskiem sercem.

Jest czego płakać, droga Wisło nasza. Płacz, płacz jesienią całą nad zgubionem sercem i błękitnemi, zadumanemi oczami. A potem zakamieniejesz w rozpaczy, wody twoje zimnym się lodem powloką.

Lecz przyjdzie wiosna słodka i urocza, dotknie cię różdżką czarodziejską, a ty ockniesz się z ciężkiej niedoli, z długiego snu. Będziesz może więcej smętna, ale fale twoje znów przelewać się będą brylantami słonecznych promieni, zielone drzewa znów szeptać ci będą ciche słowa o lepszej przyszłości, a ty zasłuchasz się i... uwierzysz.

Cora.

Niegdyś i dzisiaj.

Niegdyś i Polska ziemią szczęścia była,
Niegdyś bogactwem słynęła na światy,
Zamiast w mogiły, w zamki się stroiła,
A zamiast krzyżów, rosły na niej kwiaty.

Niegdyś Aniołów Bóg posełał z nieba,
Aby nam króla i pana wybrali,
I lud nasz nie znał tułaczego chleba,
Bo nosił dusze i skrzydła ze stali.

Niegdyś ta ziemia nie krwawemi łzami
Płynęła, ale złotą falą kłosów,
I uśmiech boży jaśniał nad chatami,
A matką była Królowa niebiosów.

Byliśmy dumni, bo nam obce ludy
Ziem swoich skarby w kornym niosły darze;
Byliśmy ufni, bo najświętsze cudy
Broniły naszych zamków i ołtarzy.

A dziś, nie pytaj, gdzie polska kraina?
Poznasz ją z dala po tchnieniu niewoli,
Co cięży nad nią, niby chmura sina,
A gdy zabłądzisz w tę ziemię niedoli,
Święte cię gruzy otoczą dokoła,
Każdy ich kamień zapłacze wspomnieniem,
I stare zamki, chyląc siwe czoła,
Będą cię witać konających pieniem.

Dzisiaj nie pytaj ,gdzie naród Polaków?
Wnuki hetmanów, bohaterów syny,
Błądzą po świecie, jak tłumy żebraków,
Politowanie — to ich skarb jedyny.

Gdzie hardość nasza? Pod łańcuchem prysła!
Serca spalone od ciągłej tęsknicy,
I duch się ugiął i nad nami zwisła
Najcięższa klątwa: „Oto niewolnicy!‟

Dziś u nas dziecię smutniejsze ma lica,
Rzewniejszą piosnkę młode ptaszę śpiewa,
Rzewniej się skarży sierota-dziewica,
Smutniejszym gwarem szumią stare drzewa.
I polne kwiaty tak trwożnie się chwieją,
Jakby się wrogów dotknięcia lękały,
I puste błonia takim bolem wieją,
Jakby z nich duchy męczenników wiały.

Dziś cała Polska, to cmentarz szeroki,
Nas już żyjących grono odtrąciło;
Myśl każda krzyżem wznosi się w obłoki,
A każde serce jest cichą mogiłą.

Kalina.

Czachowski i obóz jego.

Opowiadanie żołnierza z 1863 r.

(Ciąg dalszy.)

Czachowski widząc takie rozdwojenie w obozie, ustawił swych ludzi w porządku na rynku, Łopackiemu polecił, by toż samo ze swoimi uczynił, nie troszcząc się o Grylińskiego. Gdy obydwa oddziały czworobok sformowały wystąpił Czachowski w środku, zdjął czapkę, ukląknął, a za nim i my to zrobiliśmy, ksiądz kapelan zaczął modlitwę, którą pieśnią „Kto się w opiekę‟ zakończono. Po odprawieniu modlitwy wstał Czachowski i przemówił do nas mniej więcej w następujące słowa:

— „Przyszliśmy tu ojczyznę ratować; nie kłóćmyż się więc między sobą — zgodą oprzemy się dzikim barbarzyńcom, a niezgoda bez nich nas zje. Nie chcecie, żebym wami dowodził — i na to przystanę; jestem o was spokojny, macie dzielnego wodza w osobie majora Łopackiego, ten was dobrze poprowadzi; a teraz żegnam was moi bracia‟.....

Ledwie tych słów domówił, aż tu padł strzał. Czachowski otarł łzy; które po licu mu spłynęły i dał rozkaz swoim, by się w dwójki uformowali; wtenczas zawołał cały nasz oddział jednogłośnie:

— Niech żyje Czachowski!

— Niech żyje Łopacki!

I dopiero zaczęliśmy nalegać na Czachowskiego, aby objął naczelne dowództwo nad nami, pozostawiając nam jednak ukochanego Łopackiego. Otarł łzy radości a uścisnąwszy Łopackiego, kazał mu swój oddział sformować. Gryliński tylko nie myślał o zgodzie z Czachowskim, został też za to dotkliwie ukaranym, w jaki sposób, później się okaże.

Po pierwszym strzale nastąpiło kilka innych, a przybyły z wedety kawalerzysta zameldował Czachowskiemu, że dość wielki oddział Moskali pod lasem się ukazał. Wyszliśmy naprzeciw nich, lecz zaledwie arjergarda miasto opuściła, kazano się nam wrócić, a Czachowski sam siadłszy na koń wyprowadził nas w przeciwną stronę za miasto: chciał on widać uniknąć potyczki, gdyż zapewne albo wiedział, że przeważająca siła Moskali nadciąga, albo nieznając ich liczby nie chciał ludzi na niepewną walkę narażać; skończyło się więc na tem, że piechota wycofała się z miasta a kawalerja nasza dawszy kilka strzałów rozsypała się w łańcuch z tyłu oddziału, podczas gdy cała awangarda w łańcuch tyraljerski rozsypana pobliskie krzaki przetrząsała. Nie spotkawszy Moskali, dostaliśmy się do lasu, a idąc nim ze 6 godzin stanęliśmy w gęstwinie nad źródłem dość obfitem, i tam obóz rozłożono.

Gryliński szedł z początku z nami; w pół drogi zaś znikł bez śladu z całym swym oddziałem, czem nietylko Czachowskiego, ale i nas wszystkich oburzył. W miejscu gdzieśmy stanęli, kazał Czachowski porobić namioty z gałęzi, zanosiło się bowiem na deszcz.

Tu zostaliśmy do dnia następnego, Czachowski chciał bowiem znaleść Grylińskiego, by się z nim porozumieć; gdy około południa przyjeżdża jeden kawalerzysta z oddziału ostatniego, donosząc, że są ze wszystkiem rozbici. Ubodło to Czachowskiego, nie żałował on wcale Grylińskiego, który słuszną karę za swój postępek odebrał, ale bolało go serce za ludźmi. Natychmiast dał rozkaz do wychodu i nie biorąc przewodników, sam nas prowadził. Uszedłszy jakie 24 wiorst stanął oddział by wypocząć; jedni pokładali się na drodze i pozasypiali, drudzy konsumowali resztki chleba i słoniny, a kilku wróciło się do źródła, koło którego przeszliśmy byli. Między ostatnimi byłem i ja, było także trzech kawalerzystów; gdyśmy wodę pili, spostrzegł jeden na drodze w bok idący wózek, poskoczył co rychło na koniu i ku naszemu wielkiemu zdziwieniu przywiódł kozaka rannego, który bezprzytomny na wozie leżał i żołnierza z 7-ej roty zupełnie zdrowego. Oczywiście zaczęliśmy się wypytywać o to i owo, a on odpowiadając z wielkim strachem i uszanowaniem na zapytanie każdego, objaśnił nas, że należał do oddziału, który rozbił Grylińskiego, i że zabrawszy furgon wsadził nań rannego kozaka, by go zawieść do korpusu. Mówił

czysto po polsku, pytałem go więc jakiej narodowości, odpowiedział że jest Polakiem, że pochodzi z krakowskiego i że przed 15 laty do wojska wzięty, służy carowi.

Odprowadziliśmy jeńca do Czachowskiego, który z nim na osobności długo rozmawiał, a potem pod wartę go oddawszy, kazał dobrze pilnować. Dla jakiego powodu, nie wiem, ale dość na tem, że maszerowaliśmy całą noc i przeszliśmy koło Wąchocka; wypocząwszy z pół godziny ruszono dalej, i dopiero nad ranem stanął oddział w wiosce, gdzie ludziom śniadanie rozdzielono; tam opatrzył nasz felczer rannego kozaka, a obwiązawszy ranę ułożył go w wozie, a z rozkazu Czachowskiego nająwszy konie we wsi, odesłał do najbliższego miasteczka. Oddział tym czasem poszedł dalej i rozłożył obóz w Piekle *) na brzegu lasu. Było to 21-go kwietnia.

Zaledwie ogniska założono, dała znać wedeta, że oddział naszych nadciąga, i już nie daleko od obozu się znajduje. Natychmiast więc cały sztab siadł na konie i wyjechał naprzeciw; nas zaś ustawił Łopacki w dwa szeregi i rozkazał przyjąć przybywających okrzykami, gdyż zasłużyli na to, pobiwszy 20 kwietnia dwa razy silniejszy oddział Moskali. Niebawem nadciągnął niecierpliwie oczekiwany oddział; składał się zaledwie z 200 ludzi, po największej części w kosy uzbrojonych; na czele jechał mężczyzna w średnich latach, był to Kononowicz; za nim postępowała kompanja strzelców ze 40 ludzi złożona, za nią szli kosyniery, a arjergardę tworzył pluton kawalerji, na którego czele śp. ks. Agrypin Konarski. Ciągłe „wiwat!“ i „niech żyje!“ wydobywało się z ust naszych żołnierzy, broń przed nimi prezentujących, na co podobnemiż okrzykami odpowiadali.

Już zakomenderował Łopacki „na ramię broń“ i już z ust mu wyleciało „w kozły...“, gdy przybiegł adjutant Czachowskiego z rozkazem od tegoż by żołnierze w szeregach pozostali; myśleliśmy że odbędzie z nami musztrę; lecz wcale co innego było tego przyczyną, gdyż zaledwie Kononowicz swój oddział w szeregi ustawił, nadciągnął oddział kawalerji z 70 ludzi złożony, pod dowództwem Stamirowskiego, młodzieńca, który zaledwie lat 25 liczyć mógł. Oddział ten składał się z samej inteligencji, z których każdy na swój koszt się umundurował i uzbroił. Istotnie dziwne było to umundurowanie: tworzyła je jedwabna rogatywka różowego lub białego koloru, złotym szychem wyszyta, rodzaj płótnianki, jaką lud nasz nosi, także szychem obszytej i buty po największej części z juchtu lakierowanego; konie były wszystkie doborowe, a uzbrojenie składało się z lancy z chorągiewką, pałasza i pięciostrzałowego rewolwera. Tuż za nimi nadciągnął i Wiśniewski z oddziałem piechoty 120 ludzi liczącym. Szczególniejszą rzeczą było, że w żadnym z trzech oddziałów nowoprzybyłych nie było ani jednego Galicjanina: było nas więc na 1020 ludzi zaledwie 200 Galicjanów.

Dopieroż ożywił się nasz obóz: żołnierze zabierali znajomości z nowoprzybyłymi i weselili się pospołu; lecz nie na tem miała się skończyć dzisiejsza radość: zapowiedział nam Czachowski, że jutro bić się będziemy: dopieroż to było uciechy: biegaliśmy jak opętani, każdy krzyczał, śpiewał, śmiał się, tak że o jedzeniu nawet zapomniano, a nie jeden rachował w duchu Moskali, których na tamten świat posłać miał. I na Czachowskiego ta wspólna wesołość dobroczynny wpływ wywarła: dawniej zawsze zadumany, wypogodził dziś swe czoło i weselił się także, a kilka beczek piwa, którego dostawiono, kazał między ludzi rozdzielić.

Nadszedł i wieczór, lecz jakoś tak prędko przeminął ten czas, żeśmy nawet nie wiedzieli jak i kiedy; ognie kazał Łopacki cokolwiek poprzygaszać i zalecił nam spokojność; uczyniwszy to, położył się, a za jego przykładem poszedł cały oddział. Jeszcze dosyć ciemno było, gdy mnie ktoś za ramię ciągnął, obudziwszy się, poznałem kochanego majora:

— Wstawaj — rzekł do mnie — obudź twych ludzi, — tylko w spokojności. — (Musisz wiedzieć miły czytelniku, że byłem wtenczas podoficerem.)

Uskuteczniłem natychmiast rozkaz majora, a ustawiwszy sekcyę w porządku, kazałem jej broń rozebrać, wkrótce i inni podoficerowie zrobili to samo, a po chwili stała kompania w porządku, na przodzie kapitan, lecz nie Markowski; ten bowiem nominowany dnia poprzedniego majorem, dostał dowództwo bataljonu w oddziale Czachowskiego; (my pod dowództwem Łopackiego tworzyliśmy osobny oddział, lecz zostawaliśmy pod pośrednią komendą Czachowskiego).

Druga kompanja stała już także w porządku; ruszyliśmy wzmocnieni kompanją kosynierów Kononowicza i plutonem jazdy Czachowskiego; lecz gdzież to odchodziliśmy, gdy reszta oddziału Czachowskiego, Kononowicza, Stamirowskiego i Wiśniewskiego w obozie została? Zapewne zgadłeś czytelniku; tak jest, nie omyliłeś się, wyszliśmy naprzeciw Moskali; dostawszy się na gościniec skręciliśmy na lewo, a minąwszy wieś Piekło, stanął oddział na wzgórzu, na drodze, las przecinającej.

Słońce wschodziło właśnie i ukazało nam przepyszny widok. U stóp wolno spadającej góry rozłożyła się wioska Stefanków, przecięta na poprzek rzeczką, na której młyn się wznosił; w bok młyna zrąb, za tym łąka, a za nią wznosił las majestatycznie czoło; droga jakby po sznurku dozwalała widzieć przedmioty na daleką odległość: na niej ruszało się coś nakształt jednostajnej masy; można było rozróżnić, że masa ta czarna na jedno tempo to w górę się podnosiła, to na dół spadała; gubiliśmy się w domysłach, niepewność, czy to ludzie, czy złudne zjawisko dręczyła nas; po chwili jednak dowiedzieliśmy się, że to byli tak długo przez nas oczekiwani Moskale. Kawalerja nasza wysunęła się naprzód, a piechota rozwinięta w łańcuch postępowała lasem. Co się dalej na drodze działo, to nie wiem, bo będąc w lesie nic widzieć nie mogłem; natomiast słyszałem najpierw jeden strzał, a po upływie 5-ciu minut zionęło 300 luf moskiewskich ogniem, kule przelatywały ponad nasze głowy, obcinając czubki starych sosen i świerków; później zaczęły się strzały powtarzać. Moskale bili ciągle, naturalnie nie widząc nas strzelali, żeby strzelać; z naszej strony nie padł dotychczas żaden strzał, gdyż niewidząc nikogo, nie można było strzelać; natomiast krzycząc bezustannie „hurra!“ biegliśmy naprzód. Po chwili przemknęło mi się coś przed oczyma, oglądnąłem się i zobaczyłem że jestem koło drogi, którą kilka furgonów moskiewskich umyka, zacząłem wołać na najbliższych mnie, a gdy przybiegli, wyszedłem z nimi na brzeg lasu i kazałem strzelać do koni, zrobili to, a 3 konie, które padły od naszych strzałów, nie dozwoliły Moskalom zabrać wozów, skoczyliśmy na nie, a straż dla bezpieczeństwa tychże dana, umknęła; kazałem zabite konie uprzątnąć a furgony w tył odprowadzić, sam zresztą poszedłem naprzód i dostałem się na zrąb, zkąd nasi już dobrze na Moskali do wsi uciekających strzelali. Powoli naprzód się posuwając wygoniliśmy nieprzyjaciół ze wsi, a z tyłu dobrze prażeni musieli uciekać przez rzeczkę. Tam druga kompanja wpędziła ich na moczary, zkąd mała część życie uniosła, uciekając w przeciwną stronę, w las.

(Dokończenie nastąpi).

*) Piekło — wieś w radomskiej gubernii, w powiecie końskim; w sąsiedztwie tegoż leży Nekłaj, własna wieś fabryczna i Stefanów, gdzie nazajutrz bitwę stoczyliśmy.

Piekielna noc.

Legenda z XIV-go wieku.

Gwarno i wesoło było w zamku książęcym. Rycerze w głównej sali, przy długim stole, zastawionym srebrnemi i cynowemi misami, zapomnieli o huraganie szalejącym na dworze. Ogień gorzał na ogromnym kominie, a kielichy krążyły dokoła. Książę hojnie przyjmował swych druhów... Wesołość i swoboda panowały u dworu.

Aliści, wśród szczęku kielichów i chrzęstu zbroi, rozległ się brzęk łańcucha i silne uderzenie młota u wrót. Obecni spojrzeli po sobie ze zdziwieniem:

— Cóż to by mógł być za gość podczas tej nawalnicy?

— To pewno pielgrzym, lub mnich jaki, wpuścić go tu, zabawimy się nim.

Pachołkowie poskoczyli dla spełnienia rozkazu i wkrótce wrócili, wiodąc z sobą starca siwowłosego w habicie zakonnym.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus — rzekł cichym głosem przybyły, lecz szyderczy śmiech był mu odpowiedzią:

— Cóż ty, mnichu stary, bardzoś zmokł w tej burzy, twój Chrystus cię nie obronił od deszczu i nawałnicy?

Żarty i docinki sypały się ku słudze Bożemu, lecz on nie uważał wcale na liczne zgromadzenie, na sarkania i pogróżki, — zbliżył się do komina i wpatrując się w płomień, począł odmawiać pacierze. Kiedy myślą daleko był już od otaczających go i zatopiony w Bogu, nie zwracał uwagi na swawolników, nagle huk straszliwy rozległ się w powietrzu, jasność oświeciła zamek, który wstrząsnął się w swych podstawach. Ten i ów spoważniał, zaprzestał żartować, niejeden się przeżegnał cichaczem. Ale pan domu i jeden z jego przyjaciół szydzili z nieba i ziemi! Zakonnik zaprzestał na chwilę modlitwy i zwrócił się z surowem wejrzeniem do obecnych:

— Dość tego! — zawołał — bo Bóg karze strasznie bluźniących Jego Imieniu.

Lecz oni wyśmieli się z niego i dalej wesoło żartować poczęli. Za każdym grzmotem, za każdym trzaskiem, nowe bluźnierstwo, nowa obraza Boga, a zakonnik wciąż się modlił, błagając Pana za nim. Już biła północ i nadeszła godzina spoczynku.

— Czas spać, przyjaciele, czas rozejść się chyba — i poczęli się żegnać. Część gości miała tę noc spędzać w komnatach zamkowych.

Nieustraszony baron Raynold, najzapaleńszy bluźnierca, wybierał się w drogę.

— Baronie, przeczekaj burzę!... — prosił pan domu.

— Co, burza mnie wstrzyma od powrotu? jeszcze to nie bywało, żeby baron Raynold uląkł się jakiego żywiołu!

— Baronie — cichym głosem odezwał się zakonnik — żywiołów się nie lękaj ale lękaj się Boga! zostań w zamku tej nocy...

— Ani Bóg, ani dyabeł mnie nie przerażają! Wyzywam w szranki samego Lucypera, zobaczymy kto komu dotrzyma placu!

— Obyś nie pożałował — wyrzekł kapłan surowo — jedź, lecz pamiętaj, żem cię przestrzegał! Boga się nie kusi daremno!

Odpowiedzi nie było; wskoczył baron na trzymanego przez masztalerzy rumaka i wśród oślepiających błyskawic skierował się w góry.

Pędził wśród ryku grzmotów, rozlegających się strasznem echem między górami i wąwozami. Ciemność panowała dokoła, tylko błyskawice oświetlały drogę rycerzowi. Raz wraz piorun uderzy i echo powtarza huk daleko, to znów ziemia się wstrząśnie, zdają się walić góry na szaleńca, który urągał Bogu, natrząsał się z czartów! Dziś noc piekielna, dziś moce rozhukane szaleją, kto śmiał wyzywać je do walki?...

W tem na stromej ścieżce, którą pędził rycerz, dał się słyszeć tętent jakiś, odgłos końskich kopyt, uderzających w pędzie o skał granity.

— Co to jest? — myśli baron zdumiony — czyż drugi, mnie podobny, wybrał się w podróż nocą?

Coraz bliżej i bliżej... odwrócił się... Tam na zakręcie, przy blasku błyskawicy, dostrzegł dwóch jeźdźców, pędzących ku niemu; czarne rumaki i czarne ich zbroje, twarze ich zakryte czarnemi przybiłcami... podwaja kroku i oni śpieszą, i tuż, tuż za nim owi rycerze. Spojrzał — a z pysków końskich buchają płomienie, skry z oczów i z kopyt lecą... pochyleni na koniach milczą rycerze... tylko coraz bliżej i bliżej... wnet dościgną, a koń rży z trwogi, i on podwaja szybkość biegu, pragnie wyminąć pościg szalony. Próżne zabiegi... już doścignęli i z każdej strony konia już jadą, lejce wyrwali i w milczeniu ciągną z sobą. Raynold choć waleczny i nieustraszony i tak niedawno samego Lucypera wywołujący w szranki, przeląkł się... włosy mu powstały na głowie na widok tych dwóch czarnych postaci.

— Kim jesteście? — wrzasnął, wstrzymując konia lejcami i usiłując oderwać się od nich.

— Wyzwałeś Lucypera, my jego podwładni, nas wysłał w taniec z tobą, jedź teraz gdzie każe!

Skończyli, rumaki zrównały się z sobą, pędzą wśród huku, trzasku grzmotów i piorunów, pędzą i coraz prędzej, coraz hyżej lecą, grzywy czarnych rumaków zdają się płomienne, głowy i całe postacie to żar piekielny —ogień pod niemi, ogień dokoła... w rycerzu duch zamiera, krew ciśnie się do skroni, żałuje słów niebacznych; za późno niestety!... pędzą jak huragan. Z szybkością błyskawicy mijają góry i lasy... burza się uspokaja... na świecie zaczyna szarzeć... pędzą... i coraz prędzej... gdyż noc piekielna się kończy.

W tem, co to za dźwięk czarowny rozlega się wśród gór i dalekiem echem zdaje się płynąć w przestrzeni? To dzwon na wieży kościołka Matki Bożej z Einsiedelu, budzi do modlitwy i nawołuje ludzi do Boga. Na odgłos tego dzwonu w serce rycerza wstąpiła otucha.

— Maryo z Einsiedelu, ratuj!... — szepnęły wargi, zbielałe od trwogi — ślubuję kościół w tem miejscu postawić, wybaw grzesznego!

Lecz cóż to, ledwie miał czas to wypowiedzieć, śmiech szyderski rozległ się w powietrzu... Zniknęli jeźdźcy, zniknęły rumaki, zostawiając po sobie zapach siarki i rycerza na skraju drogi.

Padł na kolana i długo, długo dziękował Bogu za ocalenie. A na tem miejscu, wśród urwisk niedostępnych, wkrótce stanął kościół na cześć Maryi, o którym wśród ludu krąży ta legenda.

. . . .

A w zamku mnich siwy całą noc krzyżem przeleżał, błagając Boga za tą zbłąkaną duszę i Bóg go wysłuchał. Matka Boża wyrwała ze szpon dyabelskich zatwardziałego grzesznika.

Sew.

Prośba lirnika.

O, białe dwory i chaty wieśniacze,
Przychodzę do was z mą lirą jedyną
I do serc ludzi poczciwych kołaczę,
A dźwięki liry i płyną i płyną...

Niosę wam pieśni, bo wiem, iż w tej dobie
Niejeden zwątpił w cierpieniach i znoju,
Niejeden duszą, spłakaną w żałobie,
Pragnie miłości, a może pokoju!

Niosę wam pieśni, nadziei, otuchy,
Wiary i szczęścia, co nigdy nie zwodzi..
By lepsze odtąd owiały was duchy,
Byście uczuciom byli zawsze młodzi.

Niosę wam pieśni, bracia obojętni,
Chcę rozgrzać serce wasze, lodem ścięte:
Niech w piersiach waszych życie zawsze tętni,
A przyświecają ideały święte!

Niosę wam lirę, by nutą kochania,
Powściągnąć niecne rządy nienawiści,
Zbrodniczą rękę, co bliźnim zabrania
Żyć — gdy ją dręczy straszny wąż zawiści.

Chcę w was uciszyć tę burzę okrutną,
Co wam uśmiechu ani snu nie daje,
Chcę wam umilić dobę życia smutną,
By tej radości wtórowały gaje.

Jako ów Daniel, młodzieńcze pastusze,
Koil królewski gniew nieubłagany,
Chcę łączyć pieśnią poważnione dusze,
Chcę podnieść ciebie, ludu mój kochany!

I do rozrywki w mej pieśni znajdziecie
Wspomnień do syta, ciekawych powieści,
Co zajmą starca i ożywią dziecię, —
Wszakże w niej skarbiec pamiątek się mieści...

Niosę wam pieśni... lecz żem człek ubogi,
Nie mam nikogo, bezdomnym sierota....
Z prośbą o datek zdążam w wasze progi —
Rzućcie grosz drobny... ja nie pragnę złota!...

Stellina.

Potęga miłości

czyli

historya księżniczki,

która nie umiała płakać.

Znaną jest powszechnie historya córki księcia, która nigdy się nie śmiała, ale nie słyszeliście zapewne opowieści o córce księcia, co płakać nie umiała.

A zatem czytajcie:

— Onego czasu żył możny książe z księżną i księżniczką.

Ta ostatnia była piękniejszą, aniżeli bywają niemi zazwyczaj córy książęce. Ale dziecko krzyczało we dnie i w nocy. Dostojna matka byłaby tem zapewne strasznie zdenerwowaną, gdyby nerwy były wynalezione w owych czasach. Lekarze przepisywali długie recepty i dawali dziecku najobrzydliwsze lekarstwa, a maleństwo pomimo to, płakało bezustannie.

U brzegu lasu znajdowała się prastara wieża. W prastarej wieży mieszkała stara i bardzo brzydka kobieta: była to urzędowa czarownica pałacu książęcego.

Pewnego dnia księżna zażądała od niej środka przeciwko płaczu dziecka: stara obiecała złemu zaradzić. Przez dwa dni błąkała się po polach, trzeciego powróciła z koszykiem, pełnym dzikich ziół. Przyrządziła z nich kąpiel dla dostojnej beksy, która w jednorazowem zanurzeniu się w czarodziejskim odwarze stała się łagodną, jak jagniątko.

Uradowani księztwo ofiarowali czarownicy garść złota i nowy fartuch; rozpromieniona służba ze swej strony dodała hojne dary.

W kilka dni później czarownicę zaprowadzono siłą zbrojną do szpitala starców i kalek za rozkazem książęcym. Pałeczkę, którą się posługiwała przy „wieczystych‟ praktykach i ziółka „szatańskie‟ spalono ostentacyjnie na podwórzu pałacowem. A ludzie szeptali:

— Dobrze jej tak, kąpiel była za silna.

— Tak było niestety! Córka księztwa nie może już wcale płakać.

— To fatalne — utrzymywał astrolog dworski, mąż niezwykłej inteligencyi — to fatalne. Księżniczka po wyjściu kiedyś za mąż musi umieć płakać podczas solennych uroczystości. Inaczej ludzieby jej to brali za złe.

Daremnie lekarze próbowali pigułek i mikstur rozlicznych, księżniczka nie mogła płakać.

— Ja jej z oczu łzy wycisnę — wyrzekł mistrz ceremonii.

Pewnego razu, podczas gdy mała księżniczka bawiła się zabawkami, do komnaty jej wszedł drwal i grubemi butami nastąpił na główkę ulubionej lalki woskowej. Taki wydał rozkaz mistrz ceremonii, który stał dyplomatycznie za drzwiami, dla urzędowego skonstatowania dostojnych łez. Kiedy buty drwala spełniły swoją misyę, wszystkie damy pałacowe żałośliwie zabolały nad stratą, poczem rzuciły się hurmem na „rozbójnika‟ i wypchnęły go za drzwi.

Ale księżniczka nie płakała. Rzekła spokojnie:

— To nic. Tata mi kupi lalkę jeszcze piękniejszą od stłuczonej.

Mistrz ceremonii opuścił pokoje córy książęcej mocno urażony.

Mijały lata. Księżniczka dojrzewała i stawała się coraz piękniejszą; umiała wszystko, co umieć dostojnej damie przystało — wszystko, oprócz ronienia łez. Ojciec wyznaczył tysiąc sztuk złotych nagrody dla tego, kto córkę jego skłoni do płaczu. Pieniądze leżały nienaruszone.

W piętnastą rocznicę urodzin zaprowadzono królewnę do teatru po raz pierwszy w życiu. Nadworny poeta liczył wiele na piorunujące wrażenie widowiska. Ułożył w tym celu dramat wierszem, nieskończenie skomplikowany, w którym siedm osób zginęło bądź od trucizny, bądź od sztyletu.

Skoro siedm trupów ułożyło się na scenie, a czternaście par podeszew ukazało się publiczności w całej pełni, wtedy — o skandalu! — córka książęca wybuchnęła głośnym śmiechem, w czem jej zawtórowało audytoryum.

Jeden, jedyny widz zapłakał. Był nim poeta nadworny, który stracił nadzieję zyskania nagrody tysiąca sztuk złota. A pieniądze te były mu bardzo, bardzo potrzebne. Z gniewu i rozpaczy został krytykiem i satyrykiem, co zresztą księżniczce było całkiem obojętnem.

Niebawem stała się rzecz zadziwiająca. Dobra księżna zachorowała. Po upływie trzech dni, cały obszar rozbrzmiewał rozdzierającemi jękami płaczu: księżna umarła.

— Teraz księżniczka musi płakać — mówił tłum.

Ale ona mówiła:

— Szlachetna matka moja znajduje się we wspaniałym ogrodzie rajskim, gdzie jej lepiej, aniżeli nam wszystkim.

I nie zapłakała.

Mijały lata. Książę wraz z całym dworem wybrał się na łowy. Zamieszkano w gęstym lesie, w romantycznym pawilonie myśliwskim.

Piękna księżniczka, w sukni powiewnej, z sokołem w dłoni wyglądała jak zjawisko.

Pewnego dnia wyruszono w pogoń za dzikiem, wyprawa mogła być niebezpieczną, pozostawiono zatem księżniczkę w leśnem ustroniu.

Piękna samotnica urozmaicała sobie czas przechadzką. Las podszeptywał jej swoją pieśń mityczną, którą wszyscy słyszą, lecz mało kto rozumie.

W samo południe, z pośród zarośli otaczających pawilon, mignęła zwinna postać. Byłażby to sarenka, spłoszona przez myśliwych? Nie, to była śliczna biała klacz.

— Zkąd przybywasz? Gdzie twoje mieszkanie? Czy powieziesz mnie? — pytała księżniczka, pieszcząc grzywę szlachetnego zwierzęcia.

Zachęcona układnem zachowaniem klaczy, wskoczyła na jej grzbiet i pomknęła w dal nieznaną...

Mknęli przez lasy, przez pola, i dotarli do małej zagrody, położonej nad źródłem ożywczem. Na spotkanie ich wyszedł młodzieniec w stroju leśnika.

Rozpromieniony widokiem niezwykłego gościa, przyniósł mleka, chleba,

miodu i podzielił ochoczo posiłek z nadobną towarzyszką.

Czas im zeszedł do wieczora na milej i poufnej pogawędce. Kiedy mrok zapadał, dziewczę zapytało o drogę do pawilonu książęcego.

Wskazał ją młodzieniec, sadzając panienkę na białego konika.

— Do jutra — żegnał tęsknem wejrzeniem, sądząc, iż ma przed sobą służkę książęcą.

Nazajutrz dwór znowu wyruszył na polowanie, a księżniczka, ubrawszy klacz w sznur przepięknych korali, pomknęła do zagrody leśnika.

I znowu powtórzyły się gawędy, a po nich szepty coraz cichsze, coraz gorętsze.

Za nadejściem mroku, gdy czas odjazdu się zbliżał, dziwna zaduma i powaga osiadła na licach młodej pary.

Puszczyk zachichotał złowrogo ze szczytów świerku.

— Gdybym był już chociaż leśnikiem — wzdychał nazajutrz młodzian — stąpając po mchu wilgotnym, gdybym był chociaż leśnikiem, wolnoby mi było marzyć o dworskiej dziewczynie. Ale cóż, taki biedny strzelec...

Nagle spostrzegł na trawie koral, który widocznie oderwał się od stroju końskiego. Tuż obok leżała druga perła czerwona, i tak dalej po śladach krwawych paciorek dotarł do pawilonu myśliwskiego.

Na tarasie, ubarwionym zielenią wonną, siedziała służka książęca. Sama jedna. Poznała młodego strzelca i zaprosiła go do siebie uprzejmem skinieniem.

Młodzieniec przeskoczył szybko marmurowe stopnie i podążył za pięknem dziewczęciem w głąb wspaniałego salonu.

Tu na widok olśniewającego przepychu otoczenia, przyszło mu na myśl, iż piękna dziewczyna mogła być nie służącą, lecz damą w pałacu księcia.

— Wybacz pani, że ośmielam się podnieść oczy na...

— Córkę księcia — dodała z wdzięcznym dygiem jasnowłosa.

— Jakto? Tyś jest córką księcia? Łaski! Przebaczenia!.. Odchodzę ztąd daleko... Ale, co za smutek!

— Ach tak, jak smutno być księżniczką — zawołało dziewczę i ze łzami w oczach rzuciło się w objęcia młodzieńca.

Pazik, obserwujący całą tę scenę z po za kotary, pobiegł co tchu do gabinetu księcia, wołając:

— Mości książę! Księżniczka płacze...

Książę zerwał się i zapytał głosem wzruszonym:

— Jak się to stało? Dlaczego płacze?

— Płacze z żalu, iż jest córką możnego księcia. Pójdźcie, miłościwy panie, ujrzeć to dziwo. Człowiek, który wywołał cały potok łez, znajduje się jeszcze tam.

Książę ujął w dłonie ciężką skarbonę, podał ją paziowi, który kroczył za nim, i szedł ku córce.

Cieszyło go, że płakała — okoliczność, iż łzy padały na szyję młodego strzelca, mniej wzbudzała w nim zadowolenia.

Pójdź tu — zawołał cierpko — oto przynależna nagroda. Bierz i zmykaj.

To mówiąc, otworzył szkatułę pełną złota.

Młodzieniec odsunął wzgardliwie dary fortuny.

— Winną mi nagrodę sam uzyskałem tam w leśnem ustroniu, nieopodal od źródła.

Na to książę z wejrzeniem gniewnem:

— Jakto! Uwodzicielu! A gdybym ci kazał ściąć głowę? Prawda córuchno, iż wtedy zapłakałabyś?

— Nie zbyt długo — odparła księżniczka wyjmując z włosów szpilkę w kształcie sztyletu. — Podążyłabym za nim w krainę, w której książę nie ma nic do rozkazania.

— Musi to być nędzna kraina, w której książę nie może rozkazywać! — zamruczał pan. — Cóż mi pozostaje?

Wyciągnął z patryarchalnym giestem dłoń prawą, schwycił księżniczkę za różowe uszko i poprowadził ją ku temu, który był przyczyną pierwszych łez kobiety.

— Kochajcie się — rzekł wzruszony. A ty, miły panie, nie nadużywaj przywileju.

Wszyscy zapłakali chórem, a najgłośniej łkał młody pazik, bo z tego wszystkiego jemu się nic nie dostało.

R. B.

W kalinowym lesie.

W kalinowym lesie zakwitła kalina,
Oj źle temu, kogo zdurzyła dziewczyna,
Dziewczyna malina,
A czyja-ż w tem wina?
W kalinowym lesie nucą pieśń ptaszęta,
Źle temu, kto popadł w złej miłości pęta,
Kto w wiośnie, żałośnie
Tylko ból pamięta...
W kalinowym lesie ptaszę pieśń wywodzi,
Pod okna dziewczyny smętny chłopiec chodzi,
Oj smętny, bo płocha,
Biednego nie kocha,
Jego tylko zwodzi!
Oj chłopcze, oj chłopcze, nie durz się w dziewczynie,
Bo ona zmarnieje i krasa jej zginie,
Bo kupi ją stary,
Za złote talary,
Zanim roczek minie!

Władysław Karoli.

Zbójeckie sumienie.

(Podanie ludowe o powstaniu gruszek).

Włóczył się raz po górach rozbójnik pewien, który napadał to na chaty zamożnych gospodarzy, to znów na górali, wracających wieczorem do domu z roboty i zazwyczaj nie tylko obdzierał ze wszystkiego, ale i zabijał. Gruszką nazywał się ów zbójca straszny. Lud drżał przed nim, a obronić się od niego nie umiał niczem. Żadna obława nie pomogła. Zbój umiał kryć się tak w górach, że go nikt nie odszukał. A skoro znowu przydybali go ludzie kiedy na gorącym uczynku i już schwytać i wiązać chcieli, to zawsze tylu ludzi pokaleczył, pomordował nawet, że dano temu pokój na zawsze.

Razu jednego, Gruszka, ukryty w gęstwinie górskiego wąwozu, zobaczył zdaleka na ścieżce Bodyaka, największego wśród górali bogacza, który konno z dzieckiem kilkoletniem powracał z miasta z jarmarku. Chatę jego i obejście już było widać nieopodal, gdy góral zeskoczył z konia, a posadził na niem wygodniej dziecko — lniano-włose dziewczątko, snadź oczko w głowie ojca, który je brał z sobą do miasta na jarmarki.

Zdjął z siebie Bodyak torbę, wyjął z niej zawiniątko, rozwiązał i pewnie nie po raz pierwszy przeliczył papierki, które tworzyły niemałą sumkę pieniężną. Potem dał dziecku torbę i przykazał córeczce, by do domu jechała sama resztę drogi, matce oddała w torbie pieniądze i powiedziała, że to ojciec przywiózł z jarmarku, a niebawem sam powróci, tylko jeszcze wstąpi po drodze w ważnej sprawie do wójta. Koń ruszył noga za nogą Bodyak zaś poszedł w przeciwną stronę.

Wszystko to widział i słyszał tymczasem ukryty dobrze zbój Gruszka. Postanowił on bądź co bądź skorzystać z okazyi, jaka zdarzy się nie rychło po raz drugi... Obmyślił sobie, że znienacka wyskoczy z zarośli, zedrze torbę z dziecka i ucieknie. Ale naraz przypomniał sobie, że dziewczynka zapewne zapamiętałaby strój jego i opisałaby

dostatecznie złodzieja. A Bodyak znał ubiór tego rozbójnika.

Więc bojąc się, że mógłby go potem bogacz góralski odnaleść, powziął Gruszka straszny zamiar. Zgładzić trzeba ze świata niewinne dziecko. Inaczej nie da się posiąść pieniędzy Bodyaka...

Wysunął się z gęstwiny. Stanął cicho pod przydrożną gruszą i w cieniu drzewa zbliżył strzelbę do oka... Spokojnie mierzył do dziecka... spokojnie, jak myśliwy do ciągnącej słomki...

Wtem z góry coś mu na nos spadło, coś ciężkiego... A stało się to tak niespodziewanie, iż zadrżawszy naraz na całem ciele, strzelbę z rąk wypuścił... Gdy oprzytomniał nieco, zastanowił się nad tem, co mogło rękę jego powstrzymać od haniebnego strzału i zobaczył, jak pod nogami potoczył się duży owoc, do jabłka podobny, lecz nieco kształtem odmienny... Podniósł głowę w górę — skąd owoc ten spadł mu na nos — i ujrzał że cała grusza obwieszona jest takimi owocami...

Zdumiał się zbój bardzo, bo do owych czasów nigdy grusze nie rodziły owocu... I ruszyło się w zbójcy sumienie. Zrozumiał w tem Opatrzność Bożą.

Po chwili począł trząść drzewem mocno.

A kiedy mnóstwo spadło owocu, zdjął z siebie kaftan czerwony zbójecki — i ile się w niego, jak w płachtę zmieściło dziwnych jabłek podłużnych zabrał z sobą...

Poszedł z tym tłomokiem do chaty Bodyaka, gdzie właśnie matka u progu witała córeczkę na koniu... I oddał dziecku moc owocu, mówiąc, żeby jadło, bo one jabłuszka lepsze jeszcze od zwyczajnych jabłek, a nazywają się gruszki.

Matce zaś Bodyakowej dał mnóstwo złota, w kaftanie zaszytego — i prosił ją, żeby wszystko rozdała między najbiedniejszych...

A sam poszedł do kościoła — Boga przepraszać za złych uczynków tysiące i stał się odtąd uczciwym, pracowitym człowiekiem. *K.*

Jeszcze wciąż można zapisywać

„PRACĘ"

na miesiąc wrzesień.

W obrębie państwa niemieckiego jest ***każda poczta i każdy listowy tak na wsi jak i w mieście zobowiązany*** każdego czasu do przyjęcia abonamentu, który wynosi na wrzesień

tylko 42 fen.

Uwaga: Przy zamówieniu na poczcie winien każdy wyraźnie zaznaczyć, że pragnie zaabonować „Pracę" z **Poznania**.

Zaległe numery musi dostarczyć każda poczta na żądanie.

W 2-gim numerze rozpoczęliśmy druk niezmiernie ciekawej, nader zajmującej i sensacyjnej powieści p. t.

Śpiewaczka ludowa

z bardzo licznemi illustracyami.

Powieść oparta na faktach historycznych z r. 1815, jest tak interesująca, że trudno się od niej oderwać.

Początek powieści dostarczymy nowym abonentom bezpłatnie i fr.

Komu zależy na punktualnem, regularnem otrzymywaniu „Pracy", niech zamówi „Pracę" na poczcie. Jest to najwygodniej i najlepiej.

Jeszcze czas zapisać

„Czytelnię Polską"

na nowy kwartał.

„CZYTELNIA POLSKA" zapisana jest na poczcie w spisie gazet na rok 1903 pod rubryką: „Abtheilung II t. poln. 13."

Abonament „CZYTELNI POLSKIEJ" wynosi kwartalnie

60 fen.

W Austryi i wogóle w Austro-Węgrzech

pod opaską: kwartalnie 1,10 mk. czyli 1 koronę 23 hal.

Wiadomości.

— **Piękny portret w kolorach** Ojca św. Piusa X, dołączymy jako premium do „Pracy" jeszcze w bieżącem ćwierćroczu. Portret będzie wykonany pod każdym względem artystycznie i przewyższy wartość kwartalnej przedpłaty na „Pracę." Niech więc korzystają z tej sposobności nowi abonenci jak najwięcej i niechaj zapisują sobie „Pracę" na wrzesień bezzwłocznie na poczcie i w naszej ekspedycyi w Poznaniu. Kwity pocztowe na miesiąc wrzesień są zamieszczone na osobnej stronie pod opaską. Przedpłata na ten miesiąc wynosi tylko 42 fen.

— ***Folwark Kobelniki*** pod Kościanem ca. 300 mórg najprzedniejszej ziemi kościańskiej z pięknem odbudowaniem, który to majątek przed paru tygodniami przeszedł na własność domu bankowo-komisowego Drwęski i Langner w Poznaniu - już sprzedano dalej. Nowonabywcą jest gospodarz p. Piotr Dubski z Dembska pod Wielichowem.

Nowemu nabywcy „Szczęść Boże".

— ***Tuż pod Poznaniem*** przy Dębinie uroczo położona wioska ***Minikowo*** ca. 500 mórg przedniej ziemi z pięknym pałacykiem w ślicznym parku — który to majątek przed paru tygodniami z rąk niemieckich przeszedł na własność domu bankowo-komisowego Drwęski i Langner w Poznaniu — rzeczona firma już sprzedała dalej.

Nowonabywcą jest p. Jan Latanowicz znany obywatel z Dolska.

Nowonabywcy „Szczęść Boże."

— **Baczność!** Dom bankowo-komisowy *Drwęski i Langner* w Poznaniu przy ulicy Rycerskiej nr. 38 parcelować będzie posiadłość p. Jana Latanowicza w mieście Dolsku. Sprzedane będą pojedyńczo lub też w całości: oberza, cztery kamienice oraz ogrody i place pod budowle. Na miejscu jest zastępca firmy wyżej wzmiankowanej p. Jakób Woźniak, który udzieli ustnie wszelkich informacyi.

Dolsk jest bardzo ożywionem miastem handlowem, okolica czysto polska, ludność zamożna, nadto Dolsk mieć będzie dworzec kolei żelaznej, której budowa już w rozpoczęciu, wobec czego grunta pójdą w górę w cenie.

Bliższe szczegóły podane są w ogłoszeniu „Parcelacya", na które zwracamy baczną uwagę panom reflektantom.

— **Zwracamy uwagę** na ogłoszenie firmy Beissel i Winiecki dawniej A. Hoffmann, fabryki broni, Poznań Wodna ul. 21. Firmę tę najstarszą w Księztwie polecić możemy naszym Czytelnikom pod każdym względem; dodajemy jeszcze, że p. Stanisław Winiecki był przez lat 12 kierownikiem jednej z najznakomitszych fabryk broni w Niemczech i jako fachowiec dogodzić może najwybredniejszym wymaganiom.

— **Pan Leon Pluciński** przeniósł swój skład i warsztat wyrobów siodlarskich na św. Marcin nr. 49. Zwracamy na ogłoszenie p. P. uwagę Szanownym Czytelnikom i polecamy ich względom przedsiębiorstwo rodaka.

— **Kursa rysunków** dla młodzieży rzemieślniczej, urządzone przez Tow. Przemysłowców w Poznaniu rozpoczęły się we wtorek 1 września i odbywają się pod

przewodnictwem jednego z tutejszych architektów w każdy wtorek i piątek wieczorem od 8 do 10 godz. w lokalu przy ulicy Szkólnej nr. 6 na II pr. Ponieważ pomyślność wielu działów rzemiosła zawisła w znacznej mierze od biegłości w rysunkach, ztąd zachęcać należy młodzież do korzystania z powyższych kursów i wiadomość o nich szerzyć po warsztatach i na zebraniach Towarzystw. Dla pokonania coraz silniej we znaki się dającej obcej konkurencyi winni nasi przemysłowcy starać się o udoskonalenie w naukach i zręcznościach, wspomagających techniczną wprawę w ich zawodzie.

— **Odezwa Towarzystwa Kupców i Młodzieży kupieckiej w Inowrocławiu.** Wszystkie bratnie Towarzystwa kupieckie pod zaborem pruskim istniejące upraszamy na tej drodze o łaskawe podanie nam dokładnych adresów na ręce prezesa p. W. Ozdowskiego w Inowrocławiu. (Inowrazlaw.)

Zarząd

— **Zarząd główny Tow. Kółek rolniczych we Lwowie** chcąc uzyskać dokładny przegląd sztuk dramatycznych dla włościańskich teatrów amatorskich, uprasza wszystkich P.P. autorów i wydawców takich sztuk o łaskawe nadsyłanie egzemplarzy recenzyjnych tychże sztuk pod adresem:

Zarząd główny Towarzystwa Kółek rolniczych we Lwowie ulica Kopernika l. 19 II p.

— **Rozwiązanie polskiego zebrania.** W Bobowie w Prusach Zachodnich miało się odbyć w niedzielę zebranie celem założenia Towarzystwa ludowego. Zjechało się, jak piszą do „Pielgrzyma“, bardzo wiele osób z okolicy. Przed rozpoczęciem komisarz policyjny p. Maurach oświadczył, że nie pozwala, ażeby posiedzenie to się odbyło, ponieważ drzwi firankami są zasłonione. Na zapytanie gospodyni, czy pozwoli, jeżeli w przeciągu pół godziny drzwi na zewnątrz da wsadzić, odpowiedział p. Maurach, że na zebranie wogóle nie pozwoli. Po rozejściu się zgromadzonych, pozostała w przyległych pokojach pewna ilość gości. Gdy w jednym pokoju zaczęto śpiewać, pan M. zakazał natychmiast śpiewu i kazał wszystkim lokal opuścić, nawet urzędnikowi kolei, który spokojnie szklankę piwa chciał wypić. Część wyproszonych poszła do ogrodu i tutaj, gdy zaczęto śpiewać, pan M. znowu ich kazał powyrzucać. Jednego obywatela, który jeszcze pił piwo i pytał się dla czego ma lokal opuścić, żandarm schwycił za kołnierz i przemocą wyprowadził; przy tej sposobności urwał mu cały krawat.

— **O piernikach** piszą z Kruświcy do „Dzien. Kuj.:“ Wyczytałem, że w Toruniu Niemcy coraz to więcej naszym rodakom dokuczają i naszej ojczystej mowy zakazują. Nawet słynna fabryka pierników Gustawa Weesego tamże zabroniła swym robotnikom i całemu personałowi surowo rozmowy polskiej, bez względu na to, że tysiące Polaków pierniki z tej fabryki kupują!

Cóż my na to? Przecież mamy w Kostrzynie pod Poznaniem naszą fabrykę pierników p. A. Markiewicza, która nawet wybrednych a nieuprzedzonych smakoszów swym towarem zadowolić może. Będąc podczas tegorocznych Zielonych Świątek w Kostrzynie u krewnych, miałem sposobność zwiedzenia fabryki p. A. Markiewicza, która w najnowsze maszyny jest zaopatrzona; wszędzie tam wzorowy porządek zauważyć można, co na mnie wywarło jak najlepsze wrażenie.

Niestety wielu jest jeszcze kupców, cukierników i piekarzy, którzy albo wcale nie, albo też w bardzo małej ilości pierniki z fabryki p. A. Markiewicza zakupują. Mojem zdaniem, jeśli ci panowie chcą, ażeby ich rodacy popierali, to powinni się pod tym względem naprawić i więcej o naszych fabrykach pamiętać. Towar p. Markiewicza może zupełnie zastąpić wyrób toruński.

Niechaj zatem nasze gospodynie domu przy zakupnie pierników z fabryki p. A. Markiewicza stanowczo żądają, ażeby obojętnych dostawców do sprowadzenia tychże zmusić; będzie to najlepsza odpowiedź na butę krzyżacką p. Gustawa Weesego, która polskiej mowy nie znosi.

— **Lwów**, dnia 28 sierpnia. Tragiczny wypadek utonięcia wydarzył się w ostatnią niedzielę dnia 28 sierpnia b. r. w Żydaczowie.

Tegoż dnia o godzinie 5 po południu kąpało się grono młodych ludzi w rzece Stryju a mianowicie 18-to letni maturzysta Władysław Jarosz, syn radzcy namiestnictwa i starosty z Nowego Sącza, jego guwerner Sietnikiewicz i trzech synów tamtejszego c. k. starosty pana Skałkowskiego. Po kąpieli poddał Sietnikiewicz myśl przejścia w bród przez rzekę na drugi brzeg, pierwszym w szeregu był Władysław Jarosz, za nim postępował Sietnikiewicz, następnie mrzej Skałkowscy, ci jednak cofnęli się zaraz skoro jednemu z nich dosięgła woda ramion.

Władysław Jarosz po kilku krokach uczuł, że woda go unosi, a nie umiejąc pływać począł wołać na Sietnikiewicza, który będąc dobrym pływakiem pośpieszył mu natychmiast z pomocą.

Dwukrotnie widać ich było obydwóch na powierzchni rzeki, lecz wkrótce pokryła ich woda. — Przejeżdżający konno na drugim brzegu włościanin mimo wołania młodych Skałkowskich nie pospieszył tonącym na ratunek.

W pobliżu miejsca wypadku nie było nikogo więcej, ani żadnych mieszkań ludzkich, młodzi Skałkowscy przeto podążyli co rychlej z okropną wieścią do miasta, a natychmiast pośpieszyli na ratunek liczni mieszkańcy Żydaczowa i starosta p. Skałkowski, - Mimo poszukiwań przy świetle do późnej nocy nie odszukano utopionych, a dopiero w poniedziałek rano wydobyto ciała obydwóch nieszczęśliwych młodzieńców splecione w śmiertelnym uścisku.

Wypadek ten nad wyraz smutny i śmierć tragiczna dwóch wzorowych młodzieńców, z których ś. p. Władysław Jarosz pełen urody, wyjątkowych i najlepszych przymiotów umysłu, serca, zdolności, był radością i nadzieją rodziców, drugi ś. p. Sietnikiewicz, odznaczał się szlachetnością i zacnością, wzruszył i wstrząsnął do głębi wszystkich mieszkańców Żydaczowa, a cały ogół zasyła i składa nieszczęśliwym i w smutku pogrążonym rodzicom wyrazy najżywszego współczucia.

Zwłoki ś. p. Sietnikiewicza pochowane zostały na cmentarzu parafialnym w Żydaczowie, ciało zaś ś. p. Władysława Jarosza, którego zrozpaczeni rodzice przybyli do Żydaczowa, przewiezione zostało do Lwowa i tam złożone dn. 27 sierpnia b. r. w grobowcu rodzinnym na cmentarzu Łyczakowskim. Spokój ich duszy! *G.*

— **Żnin.** Na kościół w Żninie złożyl w dalszym ciągu:

Pp. M. Krakowiak z Kaczkowa 1 M., pewna osoba z Żnina i A. Rzykca z Sarbinowa po 5 M., X. J. Wolniewicz z Polskiego Witkowa 10 M., X. F. Ruszczyński z Kołłowa i X. K. Słubicki z Smoklęsk po 3 M., F. Formanowicz z Szubina 1 M., Kamieński z Inowrocławia 1 M. 50 f.

„Bóg zapłać!“ Osoby, które złożą ofiarę, otrzymają na pamiątkę piękny obrazek cudownej Matki Boskiej Żnińskiej i broszurkę z obszernym opisem miasta Żnina.

A wiemy przecież, że

„Wielką zasługę ci ludzie mają,
„Co na kościoły chętnie składają.“

X. Władysław Jasiński,
administrator.

Zmarli.

† S. p. *ks. Paweł Frysztacki*, były proboszcz w Chróścinie, powiatu Opolskiego, dnia 23-go z. m. we Wrocławiu w 77 roku życia. Zmarły był dzielnym patryotą i prawdziwym przyjacielem ludu górnośląskiego. R. i. p.

† Ś. p. *Zygmunt Wyganowski*, prezes Ziemstwa kredytowego, w 69 roku życia w Skalmierzycach. Pogrzeb odbył się dnia 26-go z. m. w Kaliszu.

† Ś. p. *Cecylia z Polczyńskich Ritterowa I-voto Jonasowa* dnia 23-go z. m. w Poznaniu, przeżywszy lat 56.

† Ś. p. *Teresa z hrabiów Mycielskich Maciejowa hrabina Mielżyńska* w Wielkiej Łęce dnia 31-go z. m., przeżywszy lat 47. Pogrzeb odbył się dnia 4-go b. m. w Pawłowicach.

† Ś. p. *Teresa z Chrzanowskich Tomaszewska* dnia 30-go z. m. w Komorzu w 73 roku życia.

† Ś. p. *Emilia z Rokuckich Czarlińska* dnia 28-go z. m w 93 roku życia w Bydgoszczy.

† Ś. p. *Barbara z Żubańskich Krzyżanowa* dnia 29-go z. m. w Śremie przeżywszy 76 lat.

Od Redakcyi.

Panu Janowi Sz. w Wanne. — Rękopis tak nieczytelnie i do tego jeszcze bladym ołówkiem napisany, że niepodobieństwem go było odcyfrować, dlatego powędrował do kosza. Wszelkie rękopisy nadsyłane redakcyi winny być pisane atramentem dobrym i nadzwyczaj czytelnie.

Zarządowi „Lutni“ w miejscu. — Notatkę o zeszłośrodowem zebraniu otrzymaliśmy za późno już po wydrukowaniu numeru "Pracy" na dzień 31-go sierpnia r. b., dlatego zamieścić nie mogliśmy. Notatki wszelkie, które mogą liczyć na natychmiastowe uwzględnienie i zamieszczenie, muszą dojść do rąk redakcyi najpóźniej w każdy wtorek do południa.

Pani N. N. w Obornikach. — Wiersza p. t. „Bór“ ze względów prasowych zamieścić nie możemy.

Zarządowi „Jedność“ w Frysztacie. — Na „Dom polski“ w Frysztacie niestety do rąk naszych nie wpłynęła żadna składka.

Zarządowi Towarzystwa „Halka“ na Jeżycach. — Sprawozdania nam nadesłanego nie zamieścimy dlatego, że w niem przeważa sprawa osobista „Halki“ z p. Sobierajskim, gospodarzem ogrodu Villa „Flora.“

Dział kobiecy.



Piękna czy brzydka?

Gdyby nas kto zapytał, jaka z kobiet ma pewniejsze widoki do zamążpójścia: piękna, czy brzydka, bez namysłu jednogłośnie zawołalibyśmy: „naturalnie, że pierwsza!“ Tymczasem w praktyce dzieje się odwrotnie. Według słów pewnej gazety w Stanach Zjednoczonych Ameryki zachodniej niedawno było zamieszczone następujące ogłoszenie: „Mężczyzna, zajmujący bardzo dobrą posadę w jednej ze znanych firm handlowych, pragnie zabrać znajomość z nieładną panienką w celu zaślubienia jej. Kandydatka powinna być niewielkiego wzrostu, rozumna, wesoła i łagodna, a co najważniejsza mieć nieregularne rysy i twarz brzydką.“

Bardzo być może, iż autor podobnego ogłoszenia, z natury zazdrosny, pragnął mieć taką żonę, którejby powierzchowność żadnej przyczyny do niepokoju nie dawała — a może też był on wdowcem i piękność, a także zalotność nieboszczki truła mu niegdyś życie i wspomnienie jej urody wstrętem go przejmowało.

W podobny sposób inny mężczyzna wyraził swe zdanie o kobietach, że na 100 panien nieładnych 90 znajdował rozumnych i miłych, pomimo, że rysy ich twarzy były pozbawione urody. Pewien buchalter w Londynie ożenił się z młodą panienką, której powierzchowność wiele pozostawiała do życzenia; — gdy z niego przyjaciele zaczęli podżartowywać z tej przyczyny — on odrzekł, że uczynił to dlatego jedynie, iż wielu z jego przyjaciół, co swoje losy powierzyli kobietom z piękną powierzchownością, po większej części byli nieszczęśliwi w małżeństwie, — dlatego też on, wybierając sobie dozgonną towarzyszkę życia tak nieładną, ma nadzieję, że ona będzie owym talizmanem, co mu szczęście w życiu przyniesie.

Pewien statystyk, zmuszony codziennie przechodzić mimo kościoła, w którym się odbywały ceremonie ślubne, mógł przyjrzeć się setkom oblubienic stojących na stopniach ołtarzy, w celu zaprzysiężenia dozgonnej wiary swoim małżonkom, utrzymywał, że na 100 kobiet przeciętnie, 5 było pięknych — 10 przystojnych 15 „znośnych“, zaś pozostałe 70 były mniej lub więcej nieładne.

Zkąd pochodzi w zawieranych małżeństwach ta przewaga brzydkich nad urodziwemi — nie wiadomo; być może, iż przeświadczenie, że się ładną nie jest, zniewala kobiety do zastąpienia braku urody nabyciem innych przymiotów, o wiele cenniejszych, których trwanie i do lat sędziwych pozostaje, gdy „ładna buzia“ jest to dar natury tak przemijający, że gdyby kobiety nie starały się o ukształcenie serc swoich i umysłów, co w ich leży możności, to uroda byłaby tylko na krótki czas przywdzianą maseczką.

Starajcie się panie o nabycie zalet serca i umysłu, bo wówczas możecie być pewne, że ani czas żłobiący bezlitośnemi kresami zmarszczki, ani siwiejące starością włosy, nie ujmą wam tego wdzięku, który o braku zewnętrznej urody zapomnieć każe!

Wychowanie dzieci w Japonii.

Japończycy, jak wiadomo, odznaczają się wielką troskliwością o swoje dzieci. „Bibliotheque Universelle“ podaje następujące szczegóły o wychowaniu dzieci w Japonii, począwszy od pierwszych dni ich egzystencyi. Matka zaczyna karmić dziecko dopiero piątego dnia po przyjściu jego na świat, przez pierwsze pięć dni życia niemowlę otrzymuje do ssania korzeń „makuri“, owinięty w jedwab. Siódmego dnia otrzymuje dziecko imię. Każdy Japończyk nosi według starodawnego zwyczaju trzy imiona: jedno w okresie dzieciństwa, drugie w wieku młodzieńczym, trzecie zaś otrzymuje jako człowiek dojrzały. Japoński pisarz Tanuwa opowiada, iż nazywano go w dzieciństwie Taczburem, od 10 roku życia zwano go Saburem, a gdy skończył lat 25, otrzymał imię Naorni, co znaczy: wierny sługa. Obecnie zwyczaj ten zaczyna być zaniedbywanym. Niemowlę nie bywa spowijane w Japonii. Po upływie tygodnia od chwili jego urodzin golą mu głowę, operacya ta powtarza się regularnie co ośm dni. W najbogatszych nawet rodzinach matka nie rozstaje się z niemowlęciem nawet wtedy, gdy wychodzi z domu. Dzieci odłączone bywają od piersi w siódmym miesiącu i do roku żywione są wyłącznie ryżem. Chociaż dzieci w Japonii rozwijają się bardzo szybko, jednak nie są bardzo zdrowe. Statystyka wykazuje, iż na 150 chłopców, z zamożnych rodzin, uczęszczających do szkoły, było tylko pięciu zupełnie zdrowych, 46 z tej liczby cierpiało na anemię, a 99 na skrofuły.

Przeciw chustkom do nosa.

Używanie chustki do nosa zwykliśmy uważać za jeden z wyrazów „wyższej“ cywilizacyi. Nie wszyscy jednak są tego zdania. Hygieniści francuscy wypowiedzieli istną walkę chustkom do nosa. Żądają oni, ażeby zamiast płóciennych i batystowych chustek, wprowadzono w użycie chustki... papierowe. Podobno można te chustki fabrykować miękkie, o ślicznych kolorach i deseniach i nie rozdzierające się w użyciu.

Słynny doktór Brouardel — z akademii medycznej, żarliwie walczy przeciw chustkom obecnym, dowodząc, iż są one gniazdami, w których roznoszą się mikroby tuberkuł, grypy, dyfteryi i innych zaraźliwych chorób. Z chustkami papierowemi niebezpieczeństwo to zniknęłoby zupełnie — gdyż taką chustkę, raz użytą, można porzucić lub spalić.

Podobno tak postępują w Japonii, gdzie nie znają innych chustek, jak papierowe — i to niszczone natychmiast po użyciu.

Dział rolniczo-ekonomiczny.

Obuwie dawniej a dziś.

Odzież i obuwie, to sprawy tak stare, jak świat ludzki, potrzeby wynikłe z warunków życia i otoczenia, klimatu i zwyczajów; potrzeby, które wraz z kulturą przeszły w dziedzinę piękna, sztuki i mody.

Piękno, sztuka i moda wymagają przemysłu — wymagają techniki i nic więcej nie odróżnia naszych postaci od postaci minionych wieków, jak odzienie i strój — jak sztuka odziewania się. Historya odzieży i obuwia jest wielkiem dziełem dziejów cywilizacyi.

W starym Egipcie było obuwie zbytkiem, tylko bogatsi przywdziewali sandały z plecionej trzciny; Egipcyanka, w uroczystej toalecie, w szatach, pełnych ozdób, obwieszona naszyjnikami, naramiennikami, branzoletkami na rączkach i nóżkach, w sfinksowym zawoju nad czołem, ukazywała się publicznie boso.

Nie dziw, że zdarzało to się bardzo rzadko — spacer brunatno-żółtej *beaute* w *sandałach* wywołałby publiczne zgarszenie, więc dbając o stopki i niechcąc narażać je na skaleczenie, piękne Aidy, pilnowały domu. Historyk powiada, że przymus ten spowodowali zazdrośni mężowie, a kilka wieków później obyczaj przeszedł w fanatyczne prawo: szewcom zakazano przygotowanie obuwia dla kobiet pod karą śmierci.

Niejeden współczesny małżonek westchnie do tych czasów!.. Proszę je sobie przedstawić! — sandały kobiece w „tytulowej roli‘‘ domowych nieporozumień buduarowych konfliktów.

Przez cały okres dziejów starożytnych forma sandałów nie ulega zasadniczej zmianie ;na posągu Thusneldy we Florencyi, pochodzącym z czasów rzymskich, widać obuwie, sporządzone z kawałka sierści lub skóry, przymocowane nad palcami i nad piętą rzemykami; górna część stopy pozostaje nieosloniętą.

Obuwie, osłaniające całą stopę aż do kostek i powyżej, pojawia się dopiero w 9 i 10 wieku po Chrystusie w użyciu. Buciki te — bo tak je nazwać można — miały porządny dziób; noszono je kolorowane na czerwono niebiesko lub czarno.

Karol Wielki nosił czerwone półbuty, w których na każdy palec stopy, było wyrobione miejsce. Buty z cholewami pojawiają się znacznie później. Panie średniowieczne ubierały stopy w prawdziwe cacka z jedwabiu lub aksamitu, ozdobione rozetami, haftami i drogiemi kamieniami, naturalnie, gdy miały na to środki — plebs chadzał boso, lub w krypciach drewnianych, jak i dziś.

Z postępem obrabiania skór, ze wzrostem bogactwa, rozpowszechniła się i moda noszenia bucików z dziobami olbrzymiemi. Długość tych dziobów znamionowała stopień dostojności i zamożności, a ponieważ przy wzrastających rozmiarach dzioba chód był utrudniony, przeto koniec bucika, przytrzymano łańcuszkiem, przymocowanym do kolan. Na końcu dzioba wieszano często dzwoneczek.

A potem pojawiły się prawa, normujące wielkość obuwia dla lepszych i gorszych stanów. Dla obuwia książąt unormowano długość dzioba na $2^1/_2$ stopy, dla dam i baronów 1—2 stóp, a dla zwykłych mieszczan $^1/_2$ stopy,

Zawód szewski opłacał się coraz lepiej, a i handlarzom skór powodziło się niezgorzej; poczęto je farbować i pojawiły się buciki w kolorach. W 15 stuleciu panowała już oryginalna moda różnobarwnych pantalonów i bucik stawiał się bardzo barwnie. Lewa np. połowa pantalonów lśniła się purpurowo — toż samo skórzany bucik, prawa połowa miała pełen nadziei kolor zieleni.

W stuleciu XVI noszono buciki ze szerokiemi dziobami (nagniotki odetchnęły), a w XVII nastało upodobanie do wysokich obcasów, patynek, w których stopa znajdowała się zupełnie ukośnie.

Utworzył się specyalny zawód „obcaśników,‘‘ wyrabiających te śpiczaste *monstra* dla szewców. Piękne Wenecyanki miały takie szczudełka pod piętą, na wysokość $1^1/_2$ stopy; podobnoć sądziły panie, że na takiem rusztowaniu nóżka przedstawia się nader uroczo i godziły się wobec tego na chód wcale nie szykowny, bo przypominający podskakiwanie wróbelków na sznurku.

Krawcy i modniarki zepsuły w dalszym ciągu interesa szewcom — przyszła moda coraz dłuższych sukien — pamiętna „krynolina‘‘ osłaniająca stopę mrokiem nocnym i... nastały czasy nowe.

Świecące jak lustro obuwie to dziś rzecz powszechna ,a przecież niedawna, bo tak zwane „czernidło‘‘ dzisiejsze, wynaleziono dopiero w połowie ostatniego wieku.

Obuwie skórzane noszono zazwyczaj barwy naturalnej, dopiero w drugiej połowie XVII wieku gładzono je już woskiem i czerniono sadzą bez połysku. Wraz z rozpowszechnieniem obuwia skórzanego, bucików i butów z cholewami najróżnorodniejszego fasonu, rosła liczba zajętych w tym rzemiośle, wzmagał się przemysł garbarski i szewski.

Cech szewski słynął oddawna i był liczny, ale... przyszły nowe czasy, wiek XIX wprowadził maszyny i na te pola produkcyi. Obuwie stało się tańszem i redukowała się liczba rzemieślników, jednak jeszcze zawsze „kunszt szewski‘‘ mógł wyżywić przyzwoicie majstra i czeladnika. Wzrastało dalej zapotrzebowanie masowe, technika konstruowała maszyny zastępujące automatycznie zręczność rąk i ręczna praca ludzka ustępuje zwolna przed machiną. Przy pomocy machin wytwarza się dziś 6 razy więcej obuwia, niż 30 lat temu, a potrzeba do tego dwa razy mniejszej ilości ludzi.

Nowoczesna produkcya obuwia rozwinęła się fabrycznie najwybitniej w Ameryce północnej. Fabryki obuwia w stanie Massachusetts dostarczają dwie trzecie zapotrzebowania całych Stanów Zjednoczonych, to jest 65 milionowej ludności.

Wszystkie składane części obuwia wyciskają, tną, formują i zginają specyalne maszyny; między walcami ściska się skórę na podeszwy, tnie ją i formuje prasa, poczem górna część obuwia umocowaną zostaje na podeszwie ręcznie lub też maszynami (jeszcze niedostatecznie wydoskonalone.)

Dla przyszycia podeszwy służy maszyna do zelowania, stebnująca na wskroś podeszew i przyszywająca ją szczelnie. Machina taka może dziennie zaopatrzyć 600 par obuwia w podeszwy. Uboczne mechanizmy gładzą, rowkują, czyszczą, zbijają obcasy, biją kołeczki, a ludzie tylko dozorują.

I rzemiosło szewskie upada, gdyż powoli jak to u nas się dzieje, produkt fabryczny tani (nie zawsze gorszy od ręcznego — bo jest i fabryczny dobry i gorszy) wypiera towar ręczny, który wytrzymać może tylko wówczas konkurencyę, gdy rzemieślnik wręcz za bezcen odda swą pracę.

E. Libański.

Dodatek Humorystyczny.

Zasługi.

(*Obrazek warszawski,*)

— Gdzie tak biegniesz, Karolku, aż z dwoma wieńcami?
I jeszcze z jakich kwiatów! z jakiemi wstęgami!
— Na pogrzeb, panie Piotrze, by uczcić zasługi...
— Bardzo słusznie. Nieboszczyk miał ich szereg długi...
— Cóż znowu za nieboszczyk? To kobieta przecie
Znana starym i młodym na warszawskim świecie;
A ty o kim myślałeś?
— Ja bo przyjechałem,
By na wieczny spoczynek pójść za starca ciałem,
Co uczuł całe życie, przygarniał sieroty.
Wpajał piękne zasady, zachęcał do cnoty,
Pisał mądrze, uczciwie, żył prawdą i trudem,
Przez całe życie żadnym nie splamił się brudem
I umarł z przeziębienia, gdy pod biedną strzechę
W mróz, odziany ubogo, niósł nędzy pociechę,
Słowem, na pogrzeb Pawła.
— Och! tego nudziarza,
Co wciąż prawił morały, jakby z kalendarza,
— Hola! hola Karolku! ale któż to była,
Ta pani, co swym zgonem tak nas zasmuciła?
Czy jaka dobrodziejka, poważna matrona?
Czy szczodra filantropka, zacna matka, żona?...
— Cóż, ty żartujesz sobie, czy o drogę pytasz?
Nie wiesz, że cała prasa całym chórem głosi
Niespożyte zasługi Andzi Kotynosi,
Co tańczyła w balecie? Ach! co to za nózia!
Co za biust! co za kibić, a buzia.... ach — buzia!
Ile tam było wdzięków! co za talent miała!
Ileż nam chwil rozkosznych w życiu przysparzała!...
A w tem na raz nieszczęście w całym swym ogromie
I Andzia, jak bohater, padła na wyłomie
Sztuki. W ubiegłą niedzielę, zaraz po balecie,
Gdy jedliśmy kolacyę w chińskim gabinecie,
Jeszcze nawet butelki całej nie wypiła,
Krew poszła jej do głowy, w godzinę nie żyła!...
Więc słusznie jej należy i obchód wspaniały.
Patrz! jakich wielbicieli tłumy się zebrały;
Będą wieńce, karety, cała młodzież złota,
A za twym Pawłem pójdzie... już chyba hołota.
— Mało się znam na sztukach, bom wciąż na wsi siedział,
Lecz pamiętam, co jakiś, gdzieś mędrzec powiedział,
Że ten naród gnuśnieje, słabnie i upada,
Który tonie w igrzyskach, skoczkom hołdy składa,
Który, żyjąc w zmysłowych zachwytów krainie,
Rozpływa się w rozkoszy i z rozkoszy ginie.
— Każdy z nas, panie Piotrze, ma swe ideały,
Ja lubię balet, wino, ty lubisz morały,
Ty chciałbyś może wskrzesić świat przedpotopowy,
By nam zatruwał życie i zawracał głowy,
Ja idę za postępem; zbutwiałe zasady
Przepadły; dziś już ludzkość pójdzie w nasze ślady,
Nie z Pawłów, lecz z nas młodych będzie brać nauki,
Jak trzeba czcić artystów, protegować sztuki;
Gdybyśmy zaś morałów ciągle słuchać mieli,
Tobyśmy, z samych nudów, dawno ogłupieli!
— Dzielnie stajesz, Karolku, w swych zasad obronie:
Wiesz co?... Ja pójdę z tobą. — tylko nie mów żonie.

Konrad M.

Dobrani.

— Patrz pan, moja córka idzie ze swym narzeczonym!

— Gdzie?...

— Ot tam... Ona w sukni z koronek śmietankowych, a on w kawowym garniturze... Nieprawdaż, jak dobrani!...

W sądzie.

— Pan będziesz skazany na karę, ponieważ handlowałeś, nie posiadając odpowiedniego świadectwa!

— Ależ, panie sędzio, ja sprzedaję mleko!...

— Czy pan usiłujesz zaprzeczyć temu, że mleko nie towar?

— No, dobrze, a jednak, nikt tego nie dowiedzie, że krowa jest... fabrykantem!

Nie puścił płazem.

— Panie Thalerman, ten pan, który wyszedł przed chwilą z pańskiego kantoru, ubliżył panu najwyraźniej. Sądzę, że mu pan tego nie puści płazem!

— To się wie, co ja jemu nie puszczę płazem. Panie prokurent!... Proszę, niech pan policzy w rachunku podwójne koszta temu panu!

Nasze młodsze.

—Jesteś zadowolona ze swej pani?

— Ale!... Od pierwszego uciekam!

— Dla czego? Czy zła?...

— Nie, ale taka ci tęga baba, że jej wszystkie suknie wiszą na mnie, jak worki.

Szorstki morał.

Rzecz więcej smutna niż wesoła.

Raz pierwszy ją ujrzał
W obszarze salonów,
Raz pierwszy z nią mówił
Wśród dźwięków i tonów,
Raz pierwszy się wyrwał
Z serdeczną przemową,
Krzyknąwszy: „O, pani!
Tyś balu królową!“

Raz drugi ją ujrzał,
Gdy zaszedł do domu;
Raz drugi nie spostrzegł
Powabu ogromu,
Raz drugi już hołdu
Nieść nie był jej w stanie,
Przeciwnie, rzekł w duszy:
„To gąska, ci panie!“

A morał historyi?
Dość szorstki niestety:
Wśród tańców i flirtu
Nie poznasz kobiety:
Na wilków są doły...
Na myszy są trutki,
A w „sidła“ balowe
Chwytają się... dudki!

Dział powieściowy.

ŚPIEWACZKA LUDOWA.

Powieść illustr., oparta na faktach historycznych z r. 1815.

(11)

(Ciąg dalszy.)

I znów schwycił Lebel rękojeść szabli, ale spojrzenie księcia wróciło mu przytomność!

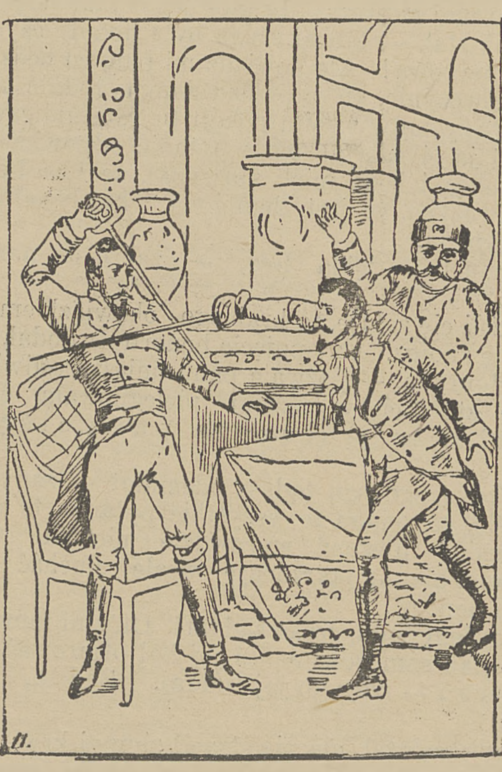
— Uważam, — rzekł książę, — że Bondi postępuje rzeczywiście bardzo szlachetnie — ma on wielkie zaufanie do pana.

I jeżeli obstaje przy swojem twierdzeniu, to jedź do domu, przekonaj się o wszystkiem i wracaj natychmiast do mnie! Zobaczymy jak się ta sprawa skończy!

— Idę, — wyjąkał Lebel, — idę.... i zbadam tę rzecz....

— Uspokój się, nie chodzi przecież o życie....

— Nie, ale o więcej, bo o honor! — zawołał żyd, — o honor mej siostry! Jestem zresztą już zupełnie spokojny, chciałbym tylko wiedzieć, zkąd baron Bondi zna rozkład mego domu, zkąd wie, gdzie leży pokój mej siostry! Bo o ile wiem, to pan nigdy w domu moim nie byłeś!



Odpowiesz mi za to krwią twoją nędzniku — krzyknął Lebel dobywając szabli! (patrz powyższe słowa w rozdziale niniejszym.)

— Nie, nie sprawiłem sobie nigdy przyjemności odwiedzenia pana, ale założyłbym się, że pokój siostry pana leży na drugiem piętrze — trzecie okno z prawej strony — na ogród......

Lebel zachwiał się. Przeczuwał on, że Bondi wie daleko więcej, niż powiedział, i na myśl o tem, że okropna ta potwarz miałaby być prawdą, i że Lea bez jego wiedzy upadła już tak nizko, zdawało mu się, że oszaleje.

— Idę już, — rzekł jeszcze raz, i spodziewam się, że sprostuję omyłkę barona. Za godzinę powrócę. Gdyby się jednak okazało, że baron ma słuszność, w takim razie nie pozostaje mi nic innego, jak ukarać surowo tę — tę — upadłą dziewczynę. Ukarzę ją z tą samą bezwzględnością, z jaką wymierzam kary innym moim wrogom!

W następnej chwili był już na schodach, a gdy wsiadał do powozu rzekł stangretowi:

— Do domu — jedź, co koń wyskoczy, ale za ogrodem stań.....

ROZDZIAŁ XIX.

Wykryci.

Co się działo w duszy Lebela, gdy oparty o jedwabne poduszki karety jechał teraz do domu, to trudno opisać. Na jasnem niebie jego życia ukazały się nagle czarne, groźne chmury — cała karyera jego została zachwianą i niebezpieczeństwo niełaski książęcej zawisło nad nim, jak miecz Damoklesa.

Zamiary barona łatwo można było odgadnąć; chciał on rywala swego upokorzyć w oczach księcia i zająć jego wysokie stanowisko, ale że uczynił to w taki podły sposób, rzucając plamę na honor Lei — tego, ach tego nie wybaczyłby mu Lebel nigdy!

Uprzytomnił sobie czysty i jasny obraz Lei, jej piękność, niewinność, i dobroć, i szalony gniew zawrzał w jego sercu na podlego oszczercę.

Nie, taka dziewczyna jak Lea nie może zapomnieć o cnocie, o moralności — wszakże niedawno przyznała się sama, że kocha nad życie Henryka Orszańskiego! Dlatego uratował go od śmierci, bo nie mógł wiedzieć, że pod czarną kapą znajduje się Bondi. Tajni jego agenci zaś nie mogli później Orszańskiego znaleźć w Warszawie — było to więc dowodem, że wyjechał!

Więc ktoś inny pozyskał serce Lei!

Ach, gdyby go Lebel miał teraz w swoich rękach! Musiał to być jakiś człowiek, niegodny jej ręki, inaczej byłby otwarcie wystąpił.

I teraz nagle przyszło mu na myśl, że jednak Bondi ma słuszność! Czemu Lea kazała sobie zanosić potrawy i wina do swego pokoju, i to zawsze wieczorem? Ah, aby jeść i pić razem z swoim kochankiem! I ten nędznik jadł jego najlepsze przysmaki, wypijał najlepsze wina, i śmiał się z łatwowiernego brata!

Powóz stanął.

Lebel wyskoczył i wszedłszy do ogrodu, zbliżał się wolno i ostrożnie ku domowi.

Wszędzie było już ciemno, tylko w pokoju Lei paliła się lampa. Więc Lea nie spała jeszcze — tem lepiej — pójdzie zaraz do niej i przekona się, czy jest samą!

I wyjąwszy klucz z kieszeni, otworzył drzwi domu i skradając się, jak kot, wszedł na drugie piętro.

Teraz zbliżył się do drzwi, zaczął podsłuchiwać i — krew zastygła w jego żyłach.

W pokoju rozmawiały dwie osoby — mężczyzna i kobieta, a zatem Lea samą nie była.

Co zrobić!

Jeżeli zapuka — to ofiara jego uciec mu gotowa, albo Lea skryłaby kochanka swego tak, że nie mógłby go znaleść. Może sznur wisiał już za oknem, po którym łatwo się spuścić można do ogrodu, ach, zakochani tak są przebiegli, że nikt im w podstępach nie wyrówna!

Przypomniało mu się jednak, że obok pokoju Lei jest garderoba, do której wiodły tajne drzwi z biblioteki, i zaraz potem był już w bibliotece. Tu odsunął małą półkę z książkami, nacisnął ukrytą sprężynę i w ścianie ukazały się małe, wązkie drzwi.

— Nareszcie — szepnął, wchodząc ostrożnie do garderoby.

Gdyby był tu zaczekał chwilę i podsłuchał rozmowę siostry z domniemanym kochankiem, to byłby się przekonał, że wszelkie jego podejrzenia były fałszywemi.

Ale on drżał z niecierpliwości — gwałtownym ruchem ręki popchnął drzwi do sypialni Lei i stanął na progu. Henryk i Lea stali przy stole na środku pokoju. Henryk trzymał ręce młodej dziewczyny i mówił jej właśnie, że jutro

opuszcza jej dom na zawsze, że nigdy tu nie wróci, i dziękował jej po raz setny za wszystko dobre, jakie mu wyświadczyła.

Nagle krzyknęła Lea przeraźliwie i porywając ramię Henryka, pociągnęła go ku drzwiom.

— Uciekaj — szeptała zbielałemi ustami — uciekaj — tam — mój brat!

— O nie, nie uciekaj hrabio Orszański — zawołał Lebel, drżącym z wściekłości głosem. — Ucieczka twoja niceby ci nie pomogła, wszystkie drzwi są zamknięte. Zresztą potrzebuję tylko zadzwonić, a służba nadbiegnie i będzie wiedziała co zrobić z takim, który w nocy zakrada się do cudzych domów! Bo pan jesteś złodziejem, kradniesz mi to, co mam najdroższego!

Henryk nie dowierzał własnym oczom, gdy ujrzał Lebela. Nie drżał on o siebie, tylko o Leę, na którą spadnie cały gniew brata. Podniósł jednak dumnie głowę i zbliżył się do żyda.

— Mój panie ,— rzekł wyniośle, — hrabiego Orszańskiego żaden sługa o kradzież nie posądzi. Ja zresztą ani myślę uciekać — zostaję tu i wyjaśnię ci wszystko!

— Mów pan do mnie trochę innym tonem, — krzyknął Lebel, tracąc panowanie nad sobą, — pan nie masz prawa przemawiać do mnie w ten sposób. Jesteś rzeczywiście złodziejem i to niebezpiecznym, bo kradziesz to, czego nigdy oddać nie możesz! Honor mi ukradłeś!

Henryk milczał. Nie mógł zaprzeczać, że Lebel miał wszelkie powody podejrzewania go o to. Spotkał go późnym wieczorem w sypialni swej siostry i widział go stojącego ręka w rękę. Był on zbyt sprawiedliwym, aby nie uznać słusznego gniewu Lebela.

— Rozmówimy się potem dokładniej o tej sprawie, — odezwał się teraz żyd, — uciec mi nie możesz, a ponieważ jesteś już raz w pokoju mej — siostry, to zostań w nim nadal. Najpierw chciałbym pomówić kilka słów z tą — dziewczyną, którą aż do tej chwili kochałem więcej, niż własne życie!

— Samuelu, — rzekła Lea płacząc, — nie potępiaj mnie, zanim nie dowiesz się wszystkiego.

— Dowiedzieć się — czego? Dla ciebie nie ma usprawiedliwienia! Tyś jest nędznicą, która mi czarną niewdzięcznością odpłaciła moją miłość i wszelkie dobrodziejstwa.....

— Nie masz pan prawa ubliżać siostrze, — krzyknął Henryk groźnie.

— Nie wtrącaj się hrabio pomiędzy rodzeństwo, — odrzekł Lebel szyderczo. — Gdybyś pan spotkał obcego mężczyznę w pokoju swej siostry, to jestem przekonany, że zabiłbyś go natychmiast! Czy myślisz, że ja, będąc tylko żydem, posiadam mniej uczucia honoru, jak szlachcic? Pana honor nic więcej nie znaczy, jak mój i dziś ci dowiodę, że umiem go tak samo strzedz, jak każdy hrabia.

— Samuelu, — zaczęła znowu Lea, biorąc jego rękę, ale on odepchnął ją gwałtownie.

— Powiedz mi, — krzyknął, — od kiedy ukrywasz hrabiego w twoim pokoju? Od kiedy istnieje wasz stosunek?

— Ach bracie, ja jestem niewinna! Przysięgam ci na pamięć naszych rodziców, że nie mam sobie nic do zarzucenia. Przysięgam ci!

— Więc jeszcze nie zapóźno przybyłem, — rzekł nieco łagodniej. — Ale teraz przyznaj się — od kiedy przyjmujesz hrabiego tutaj?

— Powiem ci całą prawdę Samuelu, — załkała Lea, — hrabia bawi tu od czterech tygodni.

— Ach — podła. —

— Nie, on był chory, umierający, nie miał mieszkania a ponieważ wiedziałam, że książę i ty prześladujecie go zawzięcie, przeto ukryłam go tutaj. Jutro już miał opuścić nasz dom — na zawsze!

Twarz Lebela wypogodziła się nieco, poznał teraz, że Bondi znał część tylko prawdy.

Tak, Lea przyjęła hrabiego, pielęgnowała go zapewne bardzo troskliwie w chorobie, ale pozostała czystą i niewinną, i mogła tak samo podnieść dumnie głowę teraz, jak dawniej.

Ale co powiedzieć temu nędznemu szpiegowi?

On by mu tego nie uwierzył tak jak i całe towarzystwo warszawskie, bo pomimo wszystkiego było niezaprzeczoną prawda, że Lea w swoim pokoju ukrywała mężczyznę.

I przebiegły żyd zamyślił się nad sposobem wybrnięcia z tego nieprzyjemnego położenia.

— Samuelu, — odezwała się teraz Lea błagalnie, — wszakże wierzysz mi? Wiesz przecież, że ja nigdy jeszcze nie skłamałam! Ja nie splamiłam naszego honoru!

— Ale nie wiesz, co uczyniłaś, — odpowiedział Lebel. — Moje stanowisko na dworze zachwiane, i to z twojej tylko winy . Jutro muszę zrobić podanie o zwolnienie mnie z urzędu, i odtąd nie będę miał ani wpływu, ani władzy, — będę żył bez zajęcia ,bez celu..... I tyś temu winna!

— Wybacz mi! Wybacz mi! — wołała z płaczem, — zlituj się nademną!

Potem przez chwile przykre zapanowało milczenie.

Nagle wstał Lebel, twarz jego promieniała i oczy radością jaśniały.

— Zwyciężę moich nieprzyjaciół, — zawołał prawie wesoło, — i honor mój pozostanie nienaruszonym — dowiodę bowiem, że hrabia Orszański miał prawo odwiedzania mej siostry! —

ROZDZIAŁ XX.

Szwagier żyda.

Henryk nie wiedział sam, dla czego słowa Lebela tak okropnie go przeraziły. Doznał jednak takiego uczucia, jak gdyby mu jakieś niebezpieczeństwo groziło — nagle zmiana w usposobieniu żyda zaniepokoiła go niezmiernie.

Lebel uśmiechał się ciągle.

— Wszakże jesteś uczciwym człowiekiem, hrabio Orszański? — zapytał teraz poważniej.

— Nikt jeszcze nie śmiał wątpić o tem!

— Bardzo dobrze! Wiem, że rodzina pana należy do najstarszych i najlepszych w Polsce, to też nie wątpię, że godny potomek swych przodków postąpi tak, jak przystało na uczciwego człowieka! Więc słuchaj pan! Spotkałem cię w pokoju mej siostry — tu głos jego stał się ostrym i zimnym jak stal, — której sława była dotąd czystą jak twoja tarcz herbowa! Ale powiedz mi pan, co będzie świat myślał o dziewczynie, która przez cztery tygodnie ukrywała młodego mężczyznę w swoim pokoju? Aha, milczysz, mój hrabio! To ja ci sam na moje pytanie odpowiem! Otóż ludzie powiedzą i będą mieli słuszność, że Lea Lebel jest upadłą dziewczyną, że jest zhańbioną, i każdy odwróci się od niej z pogardą.

— Samuelu — jękła Lea, — zabijasz mnie temi słowami!

— Jeżeli cię zabiję, to hrabiego obowiązkiem będzie wskrzesić cię znowu. Czy pojęcie honoru — dodał, zwracając się do Henryka, — pozwala panu unieszczęśliwić młodą dziewczynę, która cię w ciężkiej pielęgnowała chorobie? Czy możesz i chcesz ją narazić na potwarze i szyderstwo ludzi?

— Więc czego pan żądasz odemnie? — zapytał Henryk wyniośle, co znaczą te wszystkie pytania, te uroczyste przygotowania? Jestem wprawdzie niemal więźniem w domu pana, ale nie potrzebuję wcale słuchać rozpraw o pojęciach honoru!

— Powiem panu, czego żądam! Otóż ni mniej ni więcej jak, co pan sam powinieneś jej był ofiarować. Pozbawiłeś ją honoru — więc go jej oddaj. Żądam, abyś się z nią ożenił!

Henryk zadrżał, ale nie stracił zimnej krwi.

Chciałeś mnie pan zapewne na próbę wystawić, — rzekł z uśmiechem, — bo nie przypuszczam, abyś mógł coś podobnego na serjo mówić!

— Ah, nie chcesz, naturalnie, wzbraniasz się wypełnić mego żądania. Domyślałem się tego! Do pielęgnowania chorego jest Lea dosyć dobrą, ale jako żona — ani słuchać o tem nie chcesz!

— Gdyby serce moje wolnem było, — rzekł Henryk spokojnie, — gdybym innej nie był dał tego słowa, to nie wzbraniałbym się ani na chwilę pojąć Leę za żonę. Jest wprawdzie wielka między nami różnica, katolik i żydówka, córka szynkarza...

— Trzeba panu było szukać opieki u katolickiej arystokracyi, — przerwał Lebel złośliwie, — Lea pana wzywała! Wdarłeś się do naszego domu, przyjmowałeś opiekę mej siostry i wzbudziłeś miłość w jej sercu. Patrz pan na jej łzy, czy cię to nie wzrusza? Co do religii zresztą — o to mniejsza. Lea zostanie katoliczką. A wyprawę dam jej książęcą i posag milionowy!

— Miliony pana nie imponują mi wcale! — zawołał Henryk, wzruszając ramionami, — powinieneś dawno wiedzieć o tem, że hrabiego Orszańskiego kupić nie można!

Lebel zaczął się znowu unosić!

— Nie zapominaj, mój panie hrabio, — krzyknął, — że stoisz tu przedemną, jak żebrak. Wiem, że w Wiedniu zmarnowałeś w kilku latach ogromny majątek po ojcu — posag mej siostry byłby ci w tej chwili bardzo pewnie pożądanym!

— Mylisz się pan! Jestem biednym ale serca mego nie sprzedaję! Dla kobiety, którą kocham, będę chętnie pracował dniem i nocą i będę dumnym na każdy ciężko zapracowany grosz!!

Lea patrzała z uwielbieniem na Henryka. Nie kochała go nigdy tak, jak w tej chwili, dlatego też nie sprzeciwiała się wcale żądaniu brata.

— Kończmy naszą rozmowę, — rzekł teraz Lebel, — trwała ona i tak już zadługo. Wiesz hrabio, że jesteś w moich rękach i że mogę cię wydać księciu. Wrócisz wtedy do cytadeli! Wyjdź Leo, — zwrócił się do siostry, — wyjdź na chwilę do biblioteki, mam nadzieję, że przyjdę po ciebie jako po szczęśliwą narzeczoną hrabiego!

Lea wyszła natychmiast.

Teraz zbliżył się Lebel do Henryka, a oczy jego szatańską błyszczały radością.

Patrzał on na niego, jak tygrys na ofiarę, przygotowywując się do ostatniego skoku. Henryk czuł, że czeka go jakiś cios i zebrał całą odwagę, aby go odeprzeć lub znieść mężnie.

— Tylko kilka słów, kochany hrabio, kilka słów, — zaczął Lebel. — Panna Teresa Krones...

— Co się z nią stało? — krzyknął Henryk gwałtownie. Więc to z tej strony groziło niebezpieczeństwo!

— Nic! Panna Krones jest ciągle jeszcze w domu obłąkanych i zostanie tam na zawsze. Nie jest to przyjemne miejsce pobytu dla tej młodej pięknej dziewczyny. Na moje życzenie poda jej jutro dozórczyni cokolwiek trucizny w herbacie —

— Boże Wielki!

— Albo też, jeżeli się ożenisz z Leą — w chwili, w której staniesz z nią przed ołtarzem, będzie Teresa wolną! Wybieraj pan! W razie, gdybyś chciał uratować pannę Krones od śmierci, to odeślemy ją do Wiednia i przysięgam, że włos jej z głowy nie spadnie. Inaczej — jutro o tym czasie — —

Henryk był jak w obłąkaniu. I po raz pierwszy w życiu upokorzył się do tego stopnia, że upadł przed żydem na kolana.

— Litości! litości! — wołał z rozpaczą, — ja nie mogę wybierać! Teresa musi żyć, a ja — jakże mam być mężem Lei, której nie kocham! Przysiągłem miłość i wierność Teresie, nie, ja słowa nie złamię! Zabij mnie potworze, każ mnie zamknąć znowu w cytadeli, zniosę wszystko, ale nie wyrzeknę się Teresy!

— Więc zobaczysz jutro jej trupa!

— Ach, czy ty nie masz serca? Tyś szatan w ludzkiej postaci! Czy ty nigdy....

— Wybieraj — przerwał Lebel krótko.

— Nie mogę! Teresa jest moją narzeczoną....

— Do jutra nie będzie. W przeciągu dwudziestu czterech godzin przestanie istnieć.

— Więc bierz mnie! — krzyknął Henryk zrywając się. — Dosyć tego upokorzenia przed takim nikczemnikiem. Zostanę twoim szwagrem, podły żydzie, ożenię się z twoją nieszczęśliwą siostrą, dam jej moje nazwisko, ale serca — nigdy! Moje serce jest moją własnością, mogę je dać, komu chcę. Oddałem je na zawsze Teresie, którą straciłem — na wieki.

Lebel uśmiechnął się zadowolony. Bądź co bądź, stawała się Lea hrabiną Orszańską, a za jego staraniem się, otrzyma Henryk wnet jakie wysokie stanowisko na dworze! Było to dla Lebla drobnostką! I postara się nawet o to, aby książę zaszczycił Henryka łaską — dla swego szwagra uczyni Lebel wszystko co może!

— Usiądźmy — odezwał się teraz Lebel łagodnie, nawet uprzejmie, — i obradźmy dokładnie całą tę sprawę. papier i wszelkie przybory do pisania, bardzo dobrze! Spiszemy nasze warunki, tak będzie najlepiej!

Henryk rzucił się na krzesło i milczał, jemu wszystko było teraz obojętne. Jedna myśl zajmowała go tylko, — że Teresę wybawił od śmierci.

— Niech ten żyd robi ze mną, co chce, — rzekł sobie w duszy i żadnej już na niego nie zwracał uwagi.

— Więc ślub wasz odbędzie się natychmiast — zaczął Lebel. — Dziś jeszcze!

— Tak!



— Straszne niebezpieczeństwo grozi tobie, Leo, i całemu domowi, hrabia Orszański mn dżumę patrz w rozdziale XVI-m ostatni ustęp.

— Chociaż pan jej teraz nie kochasz, to nic nie szkodzi. Miłość później się znajdzie. Lea jest bardzo piękną, i kiedyś podziękujesz mi jeszcze za to, że ci ją dałem za żonę!

— Może być!

— Żądam więc ślubu natychmiastowego, a w zamian za to zobowiązuję się do następujących warunków: Dziś jeszcze wydam rozkaz uwolnienia Teresy Krones. Jutro o świcie wyjedzie z Warszawy. Podróż jej będzie wygodna i bezpieczna, na to przysięgam słowem honoru.

— Dziękuję, — szepnął Henryk z cichem westchnieniem ulgi.

—Dalsze moje zobowiązania są: posag Lei wynosi trzy miliony rubli ,oprócz tego ofiaruję jej dobra w Liwadyi, wartości pół miliona rubli i pałac w bliżkości Warszawy. Gdybyś pan miał jeszcze jakie życzenia, to wypełnię je chętnie. Powtarzam raz jeszcze, że oprócz tego otrzyma Lea książęcą wyprawę. Wierzaj mi pan — będziesz miał we mnie dobrego szwagra, i jeżeli tylko słuchać będziesz mej rady, to świetna karyera cię nie minie!

— Dziękuję panu, o ile sobie jednak przypominam, zobowiązałem się tylko do zaślubienia twej siostry. Do przyjmowania podarunków nie możesz mnie zmusić!

Henryk wzdrygał się na myśl brania pieniędzy Lebela. Każdy wiedział, w jaki sposób on zbierał swoje miliony — były to majątki posłanych przez niego Polaków na Sybir!

— Książę Konstanty pozwalał swoim ulubieńcom brać tyle, ile sami chcieli. Na takim majątku ciężyły łzy i krew, i błogosławieństwa Bozkiego tam być nie mogło.

— Ah, więc pan nie chcesz posagu Lei? — zawołał Lebel zdumiony. — Ale z czegóż tedy chcesz z nią żyć? Jako brat mam obowiązek starania się o jej przyszłość!

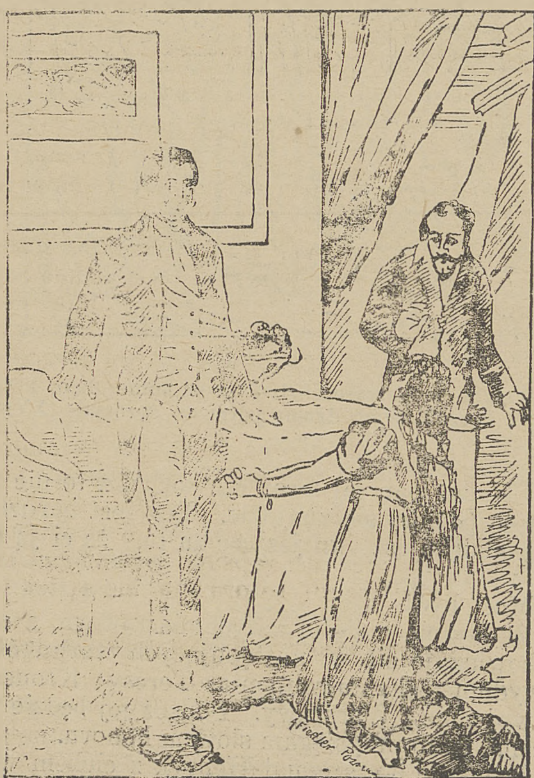
— Gdybyś pan był rzeczywiście dobrym, kochającym bratem, to nie zmuszałbyś mnie do zaślubienia jej. Bo ją czeka tylko rozczarowanie i smutek. Ale stało się, dałeś mi do wyboru albo to ,albo śmierć Teresy — a zatem Lea zostanie dziś jeszcze moją żoną. Nie będzie ona cierpiała głodu, musi jednak iść ze mną tam, gdzie ja chcę. Zamierzam mieszkać z nią w moim zamku w Tatrach, jest to jedyna posiadłość, jaka mi została — tam będziemy żyć jako tako. O zbytkach naturalnie mowy nie ma! W na pół zapadłym zamku musi się zadowolić kilku bardzo skromny-

mi pokojami, a całym moim dochodem będzie — polowanie. Pan chcesz tego — twoją winą będzie, jeżeli Lea nie będzie szczęśliwą!

— Ach, szczęśliwą nad wyraz! — dał się w tejże chwili słyszeć dźwięczny głos Lei. — Z tobą chcę znosić biedę, niewygody; nie pragnę żadnych dostatków, niczego wogóle co nam życie uprzyjemnia! Będę pracować dla ciebie — o Boże, jakie to szczęście! Zostanę twoją żoną! Henryku, teraz jesteś moim!

I szalejąca z radości, z nadmiaru szczęścia, rzuciła się na kolana, wyciągając ręce do ukochanego. Ale on jej nie podniósł, nie przycisnął do serca. Dumny i wyniosły stał przed nią, nie zważając na spojrzenie gorącej miłości, jakiem obejmowała jego bladą piękną twarz. Henryk czuł litość dla tej biednej dziewczyny, ale zarazem i pogardę. Lea, nie wiedząc, że on jej nie kocha, nie powinna się była zgodzić na to małżeństwo. Nie posiadała ani odrobiny dumy, ani godności osobistej.

— Henryku, — błagała dziewczyna, — przemów chociaż jedno słowo do mnie!



Ja ci nie mamanic do powiedzenia, — odrzekł zimno, — chcesz twej zguby — dobrze. Nie moją będzie winą, jeżeli nie znajdziesz spodziewanego szczęścia!

— *Ja ci nie mam nic do powiedzenia, — odrzekł zimno, — chcesz twej zguby — dobrze. Nie moją będzie winą, jeżeli nie znajdziesz spodziewanego szczęścia!*

— Nie, nie!

— Wstań, klęczeć przedemną nie potrzebujesz! Zostaniesz żoną moją Leo, i nigdy się skarżyć na mnie nie będziesz, na to daję ci moje słowo honoru. Nie usłyszysz nigdy odemnie szorstkiego słowa zarzutu. Będę dla ciebie dobrym, troskliwym mężem i nie zlęknę się żadnej pracy, aby ci zapewnić kawałek chleba. Mogę ci dać wszystko, tylko nie serce i miłość!

Lea schyliła pokornie głowę i zapłakała cicho.

— Ja będę się starała pozyskać twoją miłość, będę walczyć o nią, — szepnęła, — i dla tego zniosę wszystko!

— I pan nie miałbyś pokochać tej pięknej, anielskiej dziewczyny? — zawołał Lebel. — Ach, w takim razie musiałbyś mieć kamienne serce! Leo, — rzekł do siostry, — idź i ubierz się w najpiękniejszą, jaką masz, suknią. Ja z wami pojadę zaraz do klasztoru Braci Miłosierdzia — mieszkają oni w tym samym gmachu, w którym się znajduje dom obłąkanych....

— Boże! — krzyknął Henryk blednąc.

— Tak jest. Ale obłąkani są pod innym dozorem. Są to zakłady rządowe pod protekcyą księcia Konstantego. Bracia Miłosierdzia żadnej z obłąkanymi styczności nie mają. Znam ich popa — musi on natychmiast ochrzcić Leę i dać wam ślub — ja go w danym razie zmuszę do tego!

— Tak nagle... I ślub w kościele grecko katolickim? Przecież ja nie mogę....

— Cóż to szkodzi, im prędzej, tem lepiej. Co zaś do obrządku grecko-katolickiego, to tak być musi. Innej rady nie ma!

Henryk milczał. Nie było to dziwnem zrządzeniem losu, że ślub jego miał się odbyć pod tym samym dachem, pod którym znajdowała się Teresa! Pod jednym dachem, a rozłączeni na zawsze!

Ale wszelki opór był tu daremnym. Żelazna wola Lebela zwyciężyła wszystko.

I ten Lebel miał zostać jego szwagrem!

Na myśl o tem wystąpił rumieniec wstydu na twarz Henryka — czuł on, że z chwilą, w której zostanie mężem tej żydówki, przestanie istnieć dla świata. Zakopie się w górach i tam też umrze zapomniany od wszystkich, których znał i — kochał!

— Pójdę się przebrać, — rzekła Lea, — długo to nie potrwa!

— Przyszło mi jeszcze na myśl, — zaczął Lebel, gdy zostali sami, — że pan powinieneś — dla zapewnienia Lei spokojnego życia — napisać kilka słów do panny Krones. Przyrzekłem, że ona jutro wyjedzie do Wiednia i przyrzeczenia mego dotrzymam, ale pan musisz wziąść na siebie odpowiedzialność za to małżeństwo. Otóż tu jest papier i pióro — pisz to, co ci podyktuję!

— Mniejsze o to, — odrzekł Henryk, biorąc pióro. — Co mam pisać?

— Więc dalej: moja droga Tereso!...

— Uważaj pan co mówię. Nie dyktowałem najdroższa, tylko droga, to wystarcza!

— Moja najdroższa Tereso, — powtórzył Henryk spokojnie.

— Niech i tak będzie, ten raz jedyny. Dalej: te słowa są ostatniemi, jakie do ciebie w życiu piszę. Przekonałem się, że nie mogę się z tobą ożenić. Jesteś aktorką, śpiewaczką — świat inaczej zapatruje się na to...

Henryk rzucił pióro na ziemię.

— Ja tego nie napiszę, — rzekł stanowczo. — Każde słowo jest kłamstwem!

— Więc lepiej, aby panna Krones umarła?

Henryk usiadł znowu, Lebel podniósł pióro i podał mu je.

Potem dyktował dalej, a Henryk pisał, nie myśląc o niczem, nie wiedząc nawet co pisze.

List ten brzmiał jak następuje:

„Z aktorką więc żenić się nie mogę. Zresztą zaślubiam dziś jeszcze siostrę jednego z najbardziej wpływowych ludzi na dworze — znam ją od dawna i kochałem ją zawsze z całego serca. Pielęgnowała ona mnie w ciężkiej chorobie i przy tej sposobności zbudziła się na nowo miłość moja do niej. Wybacz mi Tereso, że łudziłem cię nadzieją, która się jednak spełnić nie może. Żegnam cię — na wieki!

— Na wieki, — powtórzył Henryk głucho.

— Teraz jeszcze nazwisko podpisać — tak — i życie panny Krones uratowane, — szepnął Lebel.

— Potem wziął list, przeczytał go raz jeszcze uważnie i schował do kieszeni.

— Ach, otoż i Lea! — zawołał, idąc ku drzwiom, w których stanęła narzeczona Henryka.

W białej lekkiej sukni wyglądała młoda dziewczyna rzeczywiście zachwycająco, i każdy inny mężczyzna byłby się czuł szczęśliwym z posiadania takiej żony. Ale Henryk myślał o czemś innem, nie widział nawet wcale, jak piękna była jego — narzeczona!

Mając pełne szkatułki brylantów, wzięła Lea jedną małą tylko broszkę — okazała tem wiele taktu i delikatności, i zamiast kosztownej jedwabnej sukni, wybrała lekką muślinową.

— Czemu się tak skromnie ubrałaś? — zawołał Lebel marszcząc czoło.

— Tak, jak przystało na żonę ubogiego człowieka — odrzekła, patrząc swemi promiennemi oczami na Henryka.

— Głupstwo! Ale rób jak chcesz!

Po tych słowach wyszedł Lebel, aby zbudzić służbę i wydać odpowiednie dyspozycje. Po upływie dziesięciu minut wszystko było gotowe.

Henryk sprowadził Leę na dół, poczem usiadł z n[illegible] do powozu, w którym i Lebel zajął miejsce.

— Nareszcie! — szepnął żyd z tryumfującym

uśmiechem.

Konie ruszyły.

Henryk patrzał oknem na domy i ogrody i pytał sam siebie, czy to ta sama Warszawa, w której tyle niegdyś wesołych i swobodnych chwil przepędził! I to miasto stało się grobem jego szczęścia, jego miłości i najpiękniejszych nadziei na przyszłość!

Nagle powóz stanął, służący otworzył drzwiczki.

Lebel wysiadł pierwszy — może się lękał jeszcze, aby Henryk nie uciekł!

Znajdowali się teraz przed olbrzymim, ciemnym gmachem, Lebel zbliżył się do bramy i zadzwonił. Widać było, że już poprzednio przysłał tu kogoś z uwiadomieniem o swem przybyciu ,albowiem brama otworzyła się natychmiast i jeden z zakonników z lampą w ręku ukazał się na progu.

— Czy wszystko gotowe? — zawołał Lebel.

— Tak! — brzmiała cicha odpowiedź. — Idźcie państwo za mną — do kaplicy!

Henrykowi zdawało się, że to sen jakiś okropny.

ROZDZIAŁ XXI.

Tajemnica domu obłąkanych.

Wprost z łąki Krasińskich zawieziono Teresę do osławionego domu obłąkanych i umieszczono ją tam w najokropniejszym oddziale, to jest: nieuleczalnych.

Jeżeli dziś mówimy o zakładzie dla umysłowo chorych, to przedstawiamy sobie dom, w którym nieszczęśliwi ci ludzie doznawają wszelkiej opieki, tak ze strony lekarzy jak i służby.

W owym domu, do którego zawieziono Teresę, doglądały chorych kobiety, rosyjskie zakonnice — należało się więc spodziewać, że chorzy bardzo tam dobrze mają.

Bo kto umie lepiej pielęgnować chorych, niż kobieta i to w dodatku taka, która się wyrzeka świata, jakiegokolwiek bądź wyznania ona jest! Czy ewangelicka dyakoniska, czy katolicka szaretka, czy siostra zakonna wyznania grecko-katolickiego, wszystko to są kobiety, poświęcające się bliźnim z miłością i zaparcia się własnej istoty.

Tak być przynajmniej powinno, ale nie zawsze tak bywa!

Siostry zakonne, mające dozór nad obłąkanymi, postępowały zupełnie inaczej.

Zakład ten w Warszawie, zwany także klasztorem, w najgorszej był opinji i kto koło niego przechodził, ten starał się iść jak najdalej, byle nie słyszeć rozpaczliwych jęków lub przerażających krzyków, jakie tam brzmiały dniem i nocą. Czasem można też było widzieć za żelaznemi kratami blade, smutne i wynędzniałe twarze, z wyrazem najwyższej rozpaczy i pragnienia śmierci w zapłakanych oczach.

Rząd rosyjski założył obydwa te klasztory, zakonników zaś i zakonnice sprowadzono z Kaukazu.

Że wyszukano ludzi bez serca, nie trudno odgadnąć — wszakże chodziło tu głównie o Polaków. Mieli oni pomagać rządowi w tępieniu „buntowników", i obowiązek ten sumiennie też wypełniali.

Chorych Polaków i Polki posyłano natychmiast do klasztorów — niewielka jednak liczba wychodziła ztamtąd — jeżeli zaś posyłano tam zdrowych pod jakimkolwiek bądź pozorem — to ci nigdy już nie wracali. Ludność warszawska oburzała się niezmiernie na owe klasztory, książe Konstanty jednak był głuchy na wszelkie skargi i prośby. On był zadowolonym i to wystarczało.

Okropne sceny odgrywały się podobno w owych zakładach, mianowicie u zakonnic. Opowiadano o torturach, mękach, które musieli znosić obłąkani pod pozorem, że to ich uleczy. Chociaż w opowiadaniach dużo może było przesady, to jednak dziesiąta część byłaby też już wystarczała, aby odstraszać ludzi, faktem zaś było, że cmentarz należący do klasztorów zapełniał się z przerażającą szybkością, i że proste drewniane krzyże, na których stały tylko nazwiska zmarłych, wyrastały, jak grzyby po deszczu.

Książe Konstanty uśmiechnął się zadowolony, gdy Lebel oznajmił jego rozkaz, że Teresa nie pójdzie do więzienia, tylko do domu obłąkanych.

Wiedział on doskonale, że okropniejsza kara nie może jej spotkać.

Tego samego dnia jeszcze zamknięto Teresę w ciemnej celi. Był tam mały otwór, zwany oknem, ale powietrze nie dochodziło tu wcale, tak, że Teresa po kilku już godzinach dostała ciężkiego bolu głowy i jak nieprzytomna przepędziła noc w strasznym tym lochu.

Nazajutrz rano zaprowadzono ją do przełożonej matki Gregorji.

Była to stara już kobieta, o bardzo ostrej, surowej twarzy. Powiedziano o niej, że niegdyś była sławną pięknością w pewnej kawiarni w Petersburgu. Jeden z książąt zobaczył ją i zakochał się w niej tak, że chciał się z nią ożenić. Wtedy zostawiono pięknej Georgji do wyboru, albo Sybir, albo klasztór.

Georgja wybrała naturalnie klasztor, że zaś tak prędko zgodziła się na żądanie starego księcia, przeto w nagrodę uczyniono ją wnet matką przełożoną.

Piękna Georgja stała się bez serca kobietą, ostrą, surową, bezwzględną i okrutną.

Zakonnice drżały przed nią ze strachu — jedno spojrzenie jej przenikliwych czarnych oczu wystarczało, aby najzaciętszą grzesznicę zmusić do wyznania wszystkiego.

I przed tę kobietę przyprowadzono Teresę.

Przełożona siedziała przy biurku, założonem aktami i rozmaitemi papierami. Długo trwało, zanim się obróciła do stojącej przy drzwiach Teresy.

— Nazywasz się Krones i jesteś śpiewaczką w teatrze, nieprawda?

— Tak!

— Pokazywałaś się ludziom za pieniądze, umalowana, na wpół naga — ładne zajęcie dla młodej dziewczyny!

Na twarz Teresy gorący wystąpił rumieniec wstydu i oburzenia.

— Wybacz mi szanowna matko, że zaprzeczę twoim słowom, — rzekła drżącym głosem, — ale ja nie popełniłam nigdy czegoś, za co bym się wstydzić miała. Śpiewam dla ludzi, to prawda, ale śpiew mój sprawia im przyjemność — lubią mnie za to i szanują. Nikt mi wogóle jeszcze szacunku nie odmówił, dla tego, że jestem śpiewaczką!

Georgja zerwała się z krzesła.

— Milcz, — zawołała groźnie — czy ty mnie chcesz pouczać? Ja także żyłam dawniej w świecie, poznałam wszystko, co życie dać może i — odwróciłam się z wstrętem od tego! Nienawidzę wszystkiego, co mi przypomina zepsucie świata — bo świat jest zepsuty, zły, niegodziwy!

— O nie! są ludzie źli, to prawda ,ale są też i dobrzy i szlachetni!

— Może aktorzy i aktorki! Mianowicie aktorki! — roześmiała się szyderczo Georgja.

— Zapewne i pomiędzy temi dużo jest uczciwych i zacnych kobiet!

— Głupstwo! Ale nie po to kazałam ci tu przyjść, aby mówić o aktorkach. Zbliż się teraz do mnie i słuchaj, co ci powiem. Wyobraź sobie, że matka do ciebie przemawia.

Na wspomnienie ukochanej matki stanęły łzy w oczach dziewczęcia.

— Płaczesz? — zawołała przełożona zadowolona. — Płacz, moje dziecko, wiodłaś grzeszne dotąd życie, ale Bóg łaskaw na ciebie — otwiera ci niebo i pokazuje drogę, która cię do wiecznego zaprowadzi szczęścia!

— Słucham, — szepnęła Teresa, a serce jej smutnem ścisnęło się przeczuciem.

— Moje dziecko, — zaczęła Georgja uroczyście, — Wielki książę Konstanty oddał nam ciebie z nadmienieniem, że jesteś wielką grzesznicą. Widzę, że ma słuszność, że twój dotychczasowy sposób życia dawał ci aż nadto sposobności do grzeszenia. Na scenie......

— Przepraszam, — zawołała Teresa, podnosząc śmiało swe śliczne oczy, — że śmiem przerywać. Mój dotychczasowy sposób życia nie dawał mi żadnej sposobności do grzeszenia! Nie potrzebuję przed nikim oczu spuszczać i rumienić się — postępowałam zawsze uczciwie i nie mam sobie nic do zarzucenia!

— Doprawdy? Zdaje mi się przecież, że byłaś kochanką hrabiego Orszańskiego!

Teresa cofnęła się mimowoli.

— Byłam jego narzeczoną, — rzekła spokojnie, — i ślub nasz dawno byłby się odbył, gdyby nas los okrutny nie był rozłączył!

— Mniejsze o to! Co się stało, to się już nie odstanie. W klastorze była już nie jedna grzesznica, która się nawróciła, mam więc nadzieję, że i z tobą tak będzie. Słuchaj Tereso — ciebie czeka wielkie szczęście, wielka łaska,

cać moją łaskę? Namyśl się, póki czas, po raz drugi nie nadarzy ci się sposobność ratunku!

— Chociażbym umrzeć miała, nie złamię danego raz słowa. Przysięgłam Henrykowi, że będę mu wierną aż do śmierci, i tak jak on nigdy mnie nie opuści ,tak i ja go nie opuszczę!

— I to jest ostatnie twoje słowo?

— Moje ostatnie słowo!

Georgja zadzwoniła, a zaraz potem weszła do pokoju stara, koścista zakonnica.

— Czego sobie życzysz wielebna matko? — zapytała.

Teresa zadrżała na widok wstrętnej tej kobiety i cofnęła się do okna.

— Zaprowadź tę grzesznicę do kąpieli, — odrzekła Georgja. — Niechaj się w zimnej wodzie obmyje z grzechów, a potem daj jej żelazny kaftan!

— Dobrze!

Georgja zwróciła się jeszcze raz do Teresy.

— Dam ci trzy dni do namysłu, — rzekła, — może przez ten czas przychylisz się do mego żądania. Jeżeli nie — to uprzedzam cię, że przyszłość twoja nie będzie tu zbyt przyjemną!

— Bóg się zmiłuje nademną! On mnie nie opuści, — szepnęła Teresa, drżąc z przerażenia i trwogi.

— Kto się nie poddaje moim rozkazom, ten ginie tu bez ratunku! Książę Konstantyn życzy sobie wogóle, abyś żywą z tego domu nie wyszła! Rozważ sobie, co ci jest droższem, czy własne życie, czy miłość dla hrabiego Orszańskiego. Bo tu chodzi o życie i śmierć!

— Nie potrzebuję się namyślać! Zostanę wierną Henrykowi aż do śmierci!

Na znak przełożonej porwała stara zakonnica rękę Teresy i wyprowadziła ją z pokoju.

W sieni czekały na nią już dwie inne siostry i wszystkie trzy szły teraz z Teresą przez kręte ganki, aż nareszcie zatrzymały się przed małemi żelaznemi drzwiami.

Najstarsza z sióstr otworzyła je, i teraz ujrzała Teresa schody, wiodące, jak się zdawało, do głębokiego sklepu.

Lodowe powietrze zawiało z dołu, odrażająca woń pleśni i zgnilizny unosiła się zewsząd. Teresa schodziła po ślizgich stopniach drżąc mimowoli na myśl tego, co się następnej chwili stanie.

Przełożona wspominała o zimnej kąpieli i o żelaznym kaftanie, grożąc w końcu śmiercią nawet. Ale przecież nie zamordują jej tutaj, tak dalece władza przełożonej klasztoru sięgać nie może.

Zakonnice wraz z Teresą były już teraz na dole i weszły z nią do jakiegoś sklepu, przedzielonego na dwie części. W jednej z nich znajdowała się tylko ławka, na którą Teresę rzucono — w drugiej zaś nie zbyt głęboki basen, napełniony wodą.

— Rozbieraj się, — krzyknęła jedna z sióstr, — a spiesz się! Nie chciej, abyśmy ci pomogły!

Teresa przestraszona, spojrzała na mówiącą. Czy mógł ktoś od niej żądać, aby się rozbierała w obecności trzech obcych sobie kobiet?

— Widzę już, że sama nie dasz sobie rady — roześmiała się stara zakonnica, i żylastemi swemi rękami zaczęła zdzierać ubranie z Teresy.

Młoda dziewczyna zaczynała przytomność tracić.

— Do wody! — krzyknęła znów wiedźma, i tym razem posłuchała Teresa jej rozkazu.

Woda okryje ją — będzie więc litościwszą, niż te trzy potwory pod szatą zakonnic.

Szybkim ruchem rzuciła się w basen, ale zaledwie ciało jej dotknęło wody, krzyknęła głośno i znikła w ciemnych brudnych falach.

Po długiej chwili dopiero ukazała się znowu, ledwie żywa, bo woda była lodowo zimna. Że zaś basen jednak był głębszym niż się zdawało, przeto Teresa, nie umiejąc pływać schwyciła się skostniałemi rękami poręczy. Inaczej byłaby znowu poszła na dno.

Ale siostry innego były zdania.

— Puszczaj, — krzyknęła stara jędza, a gdy Teresa w rozpaczy nie usłuchała jej rozkazu, zbliżyła się do niej, i trzewikiem, okutym w żelazo, kopnęła z całej siły białe delikatne palce Teresy.

Straszny krzyk boleści wyrwał się z ust nieszczęśliwej, i znów znikła jej głowa pod wodą.

— Czy — chcecie — mnie zamordować? — zapytała, gdy po chwili wypłynęła na wierzch. — W takim razie zabijcie — mnie — zaraz — ja w tej lodowej wodzie — umrę.

Ile razy wyciągała ręce, aby się przytrzymać poręczy, tyle razy kopała ją zakonnica. I dopiero, gdy poraz czwarty zanurzyła się w wodzie, pozwoliły jej siostry wyjść z kąpieli.

Wspierając się na rękach i nogach, wyszła na wpół nieżywa Teresa z basenu. Jedna z sióstr zarzuciła jej na ramiona kawał grubego płótna, okryła się niem więc, i płacząc z zimna prosiła o swoje ubranie. Ale zamiast jej własnych rzeczy dano jej inne, koszulę z ciemnego, ostrego materjału, habit czarny i powróz, którym się musiała przepasać. Zamiast trzewików otrzymała drewniane sandały.

— Obciąć jej włosy? — zapytała jedna z sióstr.

— Nie warto. Za trzy dni i tak już....

Zakonnica umilkła i nie dokończyła okropnego zdania, ale Teresa wiedziała, o co chodzi.

Teraz wyprowadzono ją ze sklepu — zdawało się, że schody końca nie mają, i rzeczywiście poznała Teresa, gdy nareszcie stanęła na miejscu, że znajdują się na poddaszu.

I dziwny otworzono tu pokój. Ściany jego były z ołowiu, ogromne okno w suficie z grubego szkła przepuszczało do wnętrza dużo słońca, a cały pokój był położony właściwie na dachu, jak gdyby był jego ozdobą. I tutaj na ziemi leżał jakiś pancerz stalowy, który jedna z sióstr podniosła natychmiast. W mgnieniu oka włożyły go siostry na ramiona Teresy, jedna trzymała jej głowę, druga ręce, trzecia zaś ściągała rzemienie tak, że nieszczęśliwa dziewczyna prawie oddychać nie mogła.

Był to tak zwany kaftan żelazny.

Potem wyszły zakonnice. Teresa słyszała zgrzyt klucza w zamku i — została sama.

Straszliwe gorąco panowało w tym pokoju, było to około południa i słońce przepalało nielitościwie ołowiane ściany.

Była to nowa męczarnia. W Wenecji używano takich pokoji ołowianych zamiast tortur — więźniowie dostawali od gorąca pomieszania zmysłów — a chociaż w Warszawie słońce tak nie piekło jak we Włoszech, to zawsze jednak było to straszną męką dla Teresy, nie mogącej nawet ręki poruszyć.

ROZDZIAŁ XXII.

Ostatnia nadzieja znika.

Jedyną myślą, jedyną nadzieją nieszczęśliwej Teresy był Henryk.

Gdzie on mógł się znajdować! Jak cierpiał zapewne, że mu ją wydarli! Jaka rozpacz ogarniała jego serce!

Trzy dni przepędziła Teresa w okropnym pokoju ołowianym, potem kazała ją znowu przełożona przyprowadzić do siebie. Ale gdy zdjęto z niej kaftan żelazny, upadła biedna dziewczyna nieprzytomna na ziemię, siostry musiały ją zanieść do celi na łóżko i tu przynajmniej pozwolono jej trochę wypocząć.

Ale młodość zwycięża łatwo choroby . Zaledwie krew, zatrzymana w obiegu, z powodu żelaznego kaftana, zaczęła znowu krążyć w żyłach, znikły okropne bóle, jakie Teresa z początku czuła, i dawne siły wróciły. —

Teraz przyszła matka Georgja do niej.

— Zgadzasz się na moje żądanie? — zapytała krótko.

— Nie! — brzmiała równie krótka odpowiedź.

— Pomyśl, o ile korzystniej byłoby dla ciebie zostać członkiem naszego stowarzyszenia!

— Zostanę wierną Henrykowi!

Za nic w świecie nie byłaby Teresa przywdziała habitu. Najpierw, że była katoliczką i nie chciała zmieniać wyznania, powtóre, że pomimo wszystkiego miała zawsze jeszcze nadzieję połączenia się z Henrykiem, a w końcu — z takiemi potworami nie mogła żyć razem! Poznała teraz siostry i wzdrygała się na sam widok ich dzikich twarzy. Były to gwałtowne, nieokrzesane bez serca kobiety, których największą przyjemnością było męczyć innych. Kłamstwo, obłuda, tortury — to jedynie panowało w klasztorze moskiewskim.

I z takiemi jędzami żyć na zawsze? Nie, lepiej umrzeć!

— Zabijcie mnie prędko, — rzekła przełożonej, gdy ta na nowo grozić jej zaczęła.

Georgja drżała z gniewu. Od niepamiętnych lat nikt nie śmiał stawić jej oporu, a ta śpiewaczka — aktorka, lekceważyła po prostu jej życzenia i rozkazy!

twoja pozorna niedola zamieni się w szczęśliwość, na którą właściwie nie zasługujesz! Słyszałam o tobie, zanim cię poznałam. Mówiono mi, że masz cudowny głos. — Przypuszczam, że śpiewałabyś chętnie na uczczenie Boga, nieprawda?

— Naturalnie! — zawołała Teresa, nie wiedząc, do czego to zmierza.

— Więc ja cię ułaskawię!

— Ach! Czy podobno!

— Tak. Nie będziesz dłużej mieszkać w ciasnej, dusznej celi, w której przepędziłaś dzisiejszą noc, będziesz wolną — w murach tego domu!

— Więc muszę jednak tu pozostać? — szepnęła Teresa przestraszona.

— Zapewne! Zrzucisz ze siebie błyskotki, jakie masz jeszcze na twem ciele i weźmiesz piękny strój, który my nosimy. Musisz zapomnieć o wszystkiem, co zostawiłaś w świecie, mianowicie o scenie i o miłości ziemskiej. Twój piękny głos ma służyć Bogu — dziękuj mu codziennie za to szczęście, że jesteś u nas, i że możesz pokutować za grzechy. Jednem słowem masz do wyboru: albo zginiesz marnie w domu obłąkanych, albo zostaniesz u nas zakonnicą!

Teresa milczała.

— No, i cóż, nic mi na to nie odpowiadasz, nie dziękujesz? — zapytała przełożona.

— Czy mogę otwarcie powiedzieć, co myślę? — szepnęła Teresa po chwili.

— Tego żądam nawet! — odrzekła Georgja.



A więc oświadczam stanowczo, że nie zostanę zakonnicą, ponieważ jestem narzeczoną hrabiego Orszańskiego i jego samego tylko kochać będę aż do ostatniej chwili mego życia.

— *A więc oświadczam stanowczo, że nie zostanę zakonnicą, ponieważ jestem narzeczoną hrabiego Orszańskiego i jego samego tylko kochać będę aż do ostatniej chwili mego życia!*

Przełożona załamała ręce.

— O zaślepiona! — krzyknęła, — ty śmiesz odrzu-

I zagroziła jej śmiercią, ale chwilowo groźby tej wykonać nie chciała.

Postanowiła ona koniecznie zatrzymać Teresę w klasztorze. Wiedziała że książę Konstanty, który ją dosyć często odwiedzał, lubił ładne twarze, że zaś Teresa była bardzo piękna, przeto mogła łatwo pozyskać względy wszechwładnego pana. Jakieby to korzyści przyniosło klasztorowi!

Następnych kilka tygodni minęło dosyć spokojnie, przełożona starała się nawet pochlebiać Teresie i obchodziła się z nią nadzwyczaj łagodnie. Ale ani groźby, ani pozorna dobroć Georgji nie zdołały zmienić przekonania Teresy. Miłość dla Henryka była jej jedynym skarbem, i tarczą przeciwko wszelkim pokusom i niebezpieczeństwom. —

Pewnego dnia zauważyła Teresa, że w klasztorze wielki zapanował niepokój. Siostry biegały tu i tam, szeptały ze sobą a mianowicie w kuchni wrzało jak w ulu, jak gdyby przygotowywano wielką jakąś ucztę.

Tego samego dnia wieczorem, weszła przełożona niespodziewanie do pokoju Teresy i rzekła z złośliwym uśmiechem:

— Przyszłam tu dziś, aby ci dać sposobność naprawienia złego, jakie mi wyrządziłaś, bo twój upór obraził mnie mocno. Ale pomimo to, czuje do ciebie wiele sympatyi i lubię niezmiernie piękny śpiew, na cześć Boga!

Teresa milczała. Czuła ona, że przebiegła ta kobieta nowe na nią zarzuca sidła i czekała, co dalej nastąpi.

— Pozwolę ci także, — zaczęła znowu Georgja, — obejrzeć cały nasz klasztor i poznać jego urządzenie — wiesz bowiem jak mi zależy na tem, abyś została zakonnicą! Powinnaś przecież uwierzyć, że mnie tylko chodzi o zbawienie twej duszy. Jutro odbędzie się tu wielka uroczystość — obchodzimy dzień naszego patrona i zgromadzamy się w refektorium na wspólny obiad. Potem śpiewamy pobożne pieśni. Mam nadzieję, że i ty zaśpiewasz nam jaką piękną pobożną pieśń. Obiad zjesz z nami, jest to wyjątek, jaki z tobą robię, bo właściwie nie wolno nikomu, nie należącemu do naszego zakonu, brać udziału w naszych uroczystościach. Przygotuj się więc — naucz się jakiej pieśni, a zyskasz sobie naszą wdzięczność!

Teresa otwierała już usta, aby życzeniu temu odmówić. Jak można było żądać od niej, aby śpiewała, gdy serce się krwawiło i oczy od łez już napuchły! Ale w ostatniej chwili namyśliła się jednak inaczej. Nie chciała wywoływać napróżno gniewu przełożonej, i pragnęła się przekonać, czy posiada jeszcze głos, czy jej owa lodowa kąpiel wówczas nie zaszkodziła! Wszakże głos był jedynym skarbem, jaki posiadała.

Podniosła więc spokojnie swe śliczne, modre oczy i rzekła:

— Jeżeli sobie pani życzysz, będę śpiewała, ale łzy przeszkodzą mi często, mimowoli bowiem zwraca się myśl zawsze ku temu, który tak chętnie dawniej śpiewu mego słuchał. Dawniej, gdy byłam wolną i nie miałam pojęcia o okropnej mej przyszłości!

Przełożona skinęła głową i wyszła.

Na drugi dzień rano otrzymała Teresa białą jedwabną suknią, biały długi welon i złoty łańcuch na szyję, nieco później przyniesiono jej nawet wieniec z białych róż na głowę. Posłuszna, wiedząc, że wszelki opór byłby daremnym, ubrała się Teresa w strojną suknią i udała się do refektorium.

Jakież było jej zdumienie, gdy weszła do sali! Na środku stał ogromny stół, uginający się pod kosztowną porcelaną i ciężkiemi srebrnemi i złotemi zastawami, całe to urządzenie nadawało się lepiej do królewskiego zamku, niż do klasztoru, w którym miała być surowo zachowywana wstrzemięźliwość!

Przełożona, w czarnej jedwabnej sukni, orderami i oznakami swej godności ozdobiona, miała na szyji i we włosach kosztowne brylanty.

Ujrzawszy Teresę, zbliżyła się ku niej z uprzejmym uśmiechem i podała jej rękę.

— Dziwisz się pewnie, — rzekła, — że jesteśmy tak ustrojone, ale czynimy to zawsze raz w rok, na cześć naszego patrona. Patrz tylko na siostry — i na nasze biedne pacyentki — nie są one w tych niebieskich sukienkach podobne do aniołów? Ale i ty jesteś piękną, moje dziecko, tylko trochę bladą. Wkrótce jednak zakwitną rumieńce na twej ślicznej twarzyczce — skoro tylko wdziejesz habit! Będziesz wtedy musiała chodzić dużo po ogrodzie i dostaniesz pożywne jedzenie. Ach, ty uparta dziewczyno, jedno słowo, a wszystko zostanie załatwione!

Teresa milczała. Szeroko otwartemi oczami wpatrywała się w kilka osób, stojących po drugiej stronie sali, a dreszcz przerażenia przebiegł jej członki. Była teraz jednak już zbyt ostrożną aby powiedzieć, co się w duszy jej działo, i dla tego spuściła głowę i nieodpowiedziała ani słowa na pytanie przełożonej.

W tejże chwili wezwano wszystkich do stołu i rozmowa musiała się skończyć.

Od czasu, kiedy Teresa występowała na scenie, zapraszano ją w Wiedniu do najpierwszych domów i tam miała najlepszą sposobność poznania zbytków pod każdym względem. Bywała na świetnych zabawach, balach i obiadach,

ale takiego obiadu jak dzisiejszy, nie zdarzyło jej się nigdzie jeszcze widzieć.

Można było sądzić, że król jaki pragnie ugościć wszystkich panujących. Nie brakło tam żadnych przysmaków, żadnych najkosztowniejszych potraw i najdroższego wina. Zakonnicy, którzy dziś także byli tu zaproszeni, jedli i pili z przerażającą żarłocznością, i wnet zarumieniły się ich twarze i rozmowa dwuznaczny zaczęła przybierać charakter. Całe towarzystwo stało się bardzo wesołe!

Teresa byłaby najchętniej uciekła do swej celi, ale Georgja pilnowała każdego jej poruszenia.

Po obiedzie wezwała przełożona swych gości do kościoła — miał się tam odbyć koncert, i Teresa musiała zabrać nuty z sobą.

Przez długie, ciemne ganki wiodła droga do obszernej kaplicy. Goście i siostry szli parami, Teresa szła tylko sama na końcu i nagle zdawało jej się, że słyszy dziwne jakieś dźwięki....

Zbyt jednak ostrożna, aby się nie narażać na nowe niebezpieczeństwo, szła teraz prędzej i odetchnęła lżej, gdy przestąpiła progi świątyni.

Najpierw śpiewali zakonnicy długi psalm po rosyjsku, potem siostry, aż nareszcie przyszła kolej na Teresę.

Z niezmierną ciekawością zwróciły się oczy zgromadzonych na uroczą tę, białą postać, i prawdziwy grzmot oklasków rozległ się w kaplicy, gdy śpiewać przestała. Wszyscy byli zachwyceni, oczarowani jej cudownym głosem.

Przełożona zbliżyła się do niej i uścisnęła jej ręce.

— Teraz jest najstósowniejsza chwila, — rzekła uroczyście, — złożenia ślubów zakonnych! Jedno słowo twoje wystarczy, a przyjmiemy cię natychmiast do naszego grona. Wierzaj mi, że ja dobrze ci radzę!

— Nie, — szepnęła Teresa, — ja tego uczynić nie mogę! Nigdy! Jeżeli mi pani dobrze życzysz, to wróć mi wolność — będzie to najwyższym dowodem twej łaski!

— Idź, — zawołała przełożona rozgniewana, — idź do twej celi, jesteś upartą, niegodziwą dziewczyną, pragnącą swej zguby. Gdybym była wiedziała, że jesteś tak upartą, — nie byłabym ci nigdy tyle dobrego wyświadczyła. Idź do twej celi i pozostań w niej. Śpij mocno tej nocy — to jest jedyne, czego ci życzyć mogę!

Teresa nie dała sobie dwa razy powiedzieć. Szybko opuściła kaplicę i zaraz potem znalazła się w swej celi.

Tutaj czuła się bezpieczną, i rzuciwszy się na kolana, prosiła gorąco Boga, aby ją zachował od pokus i pozwolił wytrwać aż do końca w wiernej miłości dla Henryka.

Potem zbliżyła się do zakratowanego okienka i spojrzała na ulicę.

Cela jej leżała na trzeciem piętrze — miasto więc rozszerzało się u jej stóp, a liczne światła na ulicach i w oknach oświetlały dziwnie zapadający zmierzch. Tam płynęła Wisła szeroką białą wstęgą, księżyc przeglądał się w jej falach, zielone łąki widniały zdaleka — wszędzie wiosna, kwiaty, wolność, tylko ona nieszczęśliwa zamknięta w okropnem więzieniu, bez nadziei, bez pociechy...

Teresa stała długo przy oknie, oddychając z rozkoszą chłodnem, świeżem powietrzem.

W końcu przypomniało jej się, że przełożona kazała jej spać, i czując się zmęczoną postanowiła rzeczywiście udać się na spoczynek.

Ale w chwili, w której chciała zdjąć suknią zauważyła, że zgubiła złoty krzyż, wiszący na łańcuszku, przysłanym jej dziś rano przez Georgją.

— Zażąda go znowu odemnie — pomyślała przestraszona, — i posądzi mnie o kradzież. Muszę wrócić raz jeszcze do refektorium, może go tam znajdę. Nikt mnie tam nie zobaczy, bo wszyscy pewnie jeszcze w kaplicy...

I otworzywszy ostrożnie drzwi, zeszła na dół, ale im więcej zbliżała się do wielkiej sali, tem większe przerażenie i zdumienie wyryło się na jej twarzy.

Zdaleka już słyszała przytłumione krzyki, hałasy, śmiechy, i dźwięki skocznej muzyki — te same, które raz już zdawała się słyszeć, idąc po obiedzie do kaplicy.

Co to miało znaczyć?

Czy obłąkani zdołali wyłamać drzwi swoich cel i wyprawiali tutaj dzikie harce, czy siostry potraciły zmysły?

Teresa zbliżyła się teraz do drzwi i otworzyła je.

Ale jaki widok przedstawił się tu jej oczom! Żadne pióro opisać nie zdolne, w jaki sposób odbywała się szalona, wyuzdana zabawa rosyjskich mnichów i zakonnic!

Teresa zasłoniła twarz rękami, nie chcąc już nic widzieć, i zamierzała właśnie uciekać, gdy w tejże chwili przyskoczyła do niej przełożona, schwyciła jej ramiona i rzuciła ją na kolana.

—Przeklęta! — krzyknęła ochrypłym z złości głosem, — pomimo mego zakazu przychodzisz tutaj? Chciałaś nas szpiegować, ale to ci na dobre nie wyjdzie! Nigdy w życiu nie wyjawisz tego, co tu widziałaś — nie mam litości dla ciebie — dzisiejszej nocy jeszcze umrzesz!

— Ja nie szpiegowałam, — zaczęła Teresa, ale rozszalała kobieta nie pozwoliła jej mówić dalej.

— Milcz! — zawołała groźnie. — Barbaro! Katarzyno! — krzyknęła, zwracając się do sali.

W jednej chwili nadbiegły dwie siostry, były to te same, które Teresę wówczas do lodowej zaprowadziły kąpieli.

— Osieczcie tę nędznicę, — rozkazała Georgja, i idźcie za mną. Prędko, musimy ją zabić, bo ona widziała — naszą zabawę, i gdyby kiedykolwiek wydobyła się z klasztoru, opowiadałaby o tem ludziom. — — Dlatego ona umrze! Zbyteczna ciekawość nikomu na dobre nie wychodzi!

Teresa czuła, że ją podniesiono, potem straciła przytomność.

A gdy znów otworzyła oczy i rozejrzała się dokoła, widziała, że znajduje się w podziemnym sklepie klasztornym. Leżała w jakiejś wąskiej niży, utworzonej przez dwie ściany, i tak ciasnej, że ledwie się w niej zmieścić mogła.

Widocznie długo musiała leżeć nieprzytomna, bo mur dosyć już wysoki, otaczał ją ze wszystkich stron. Przełożona i dwie siostry pracowały pilnie. Z podniesionemi rękawami kładły szybko jednę cegłę na drugiej, a wprawa, jaką przytem zdradzały była dowodem, że nie pierwsza to była ich robota!

Rozrzucone tu i owdzie stare cegły były też pewnie używane niegdyś w tym samym celu!

Teresa wiedziała bardzo dobrze, co ją czeka, a chociażby i nie wiedziała, to krzyki i przekleństwa Georgji byłyby ją dokładnie objaśniły.

— Spieszcie się, — krzyczała dawniejsza kawiarka rosyjska, podawając siostrom cegły, — mur musi być wyższym, niż ona — nie pierwsze to i nie ostatnie — w ten sposób pozbędziemy się szpiega, zamurujemy ją żywcem, niech umiera z głodu i pragnienia.....

— Boże Miłosierny! — krzyknęła Teresa.

Była ona wprawdzie przygotowaną na śmierć — ale takie powolne konanie przerażało ją okropnie.

Być żywcem zamurowaną, udusić się, umrzeć z głodu ach, czy można sobie wyobrazić coś straszliwszego! I w niemej rozpaczy schwyciła Teresa kamienie i zaczęła je szarpać — ale daremnie. Z palcy krew się polała, a kamienie ani się ruszyły. Georgja znała się na tej robocie!

Nie trwało długo, a mur dochodził już wysokości jej czoła. Jeszcze tylko kilka minut....

Nagle otworzyły się drzwi sklepu, ktoś wbiegł szybko i Teresa usłyszała jakiś męzki głos, wymawiający kilka słów po rosyjsku.

I zaraz potem stało się coś nadzwyczajnego!

Z tą samą szybkością, z jaką Georgja kładła poprzednio cegły, zaczęła je teraz zdejmować, a jedna z siòstr musiała iść po wino, aby Teresa nieco się pokrzepić mogła.

— Nie, nie zabijemy cię, — rzekła przełożona z tajoną wściekłością, — wyższa wola, której nie śmiem stawiać oporu każe mi cię uwolnić. I to natychmiast! Ale może będziesz chciała dobrowolnie zostać u nas, — dodała z szatańskim prawdziwie uśmiechem.

— Ja miałabym tu dobrowolnie zostać? — zawołała Teresa oburzona. — I pani żądasz tego jeszcze, pomimo, że przed chwilą chciałaś mnie w tak okrutny sposób zamordować! Ach, ani jednej sekundy nie zostanę w tym okropnym klasztorze! Opuszczę go jak najprędzej!

— A ja ci mówię, — roześmiała się Georgja, — że dziś jeszcze będziesz mnie błagać, abym ci tu pozwoliła zostać. Wyrzekniesz się z własnej woli powrotu w świat.....

— Nigdy!

— Powiedz mi, kochasz ty zawsze jeszcze hrabiego Orszańskiego?

(Ciąg dalszy nastąpi.)